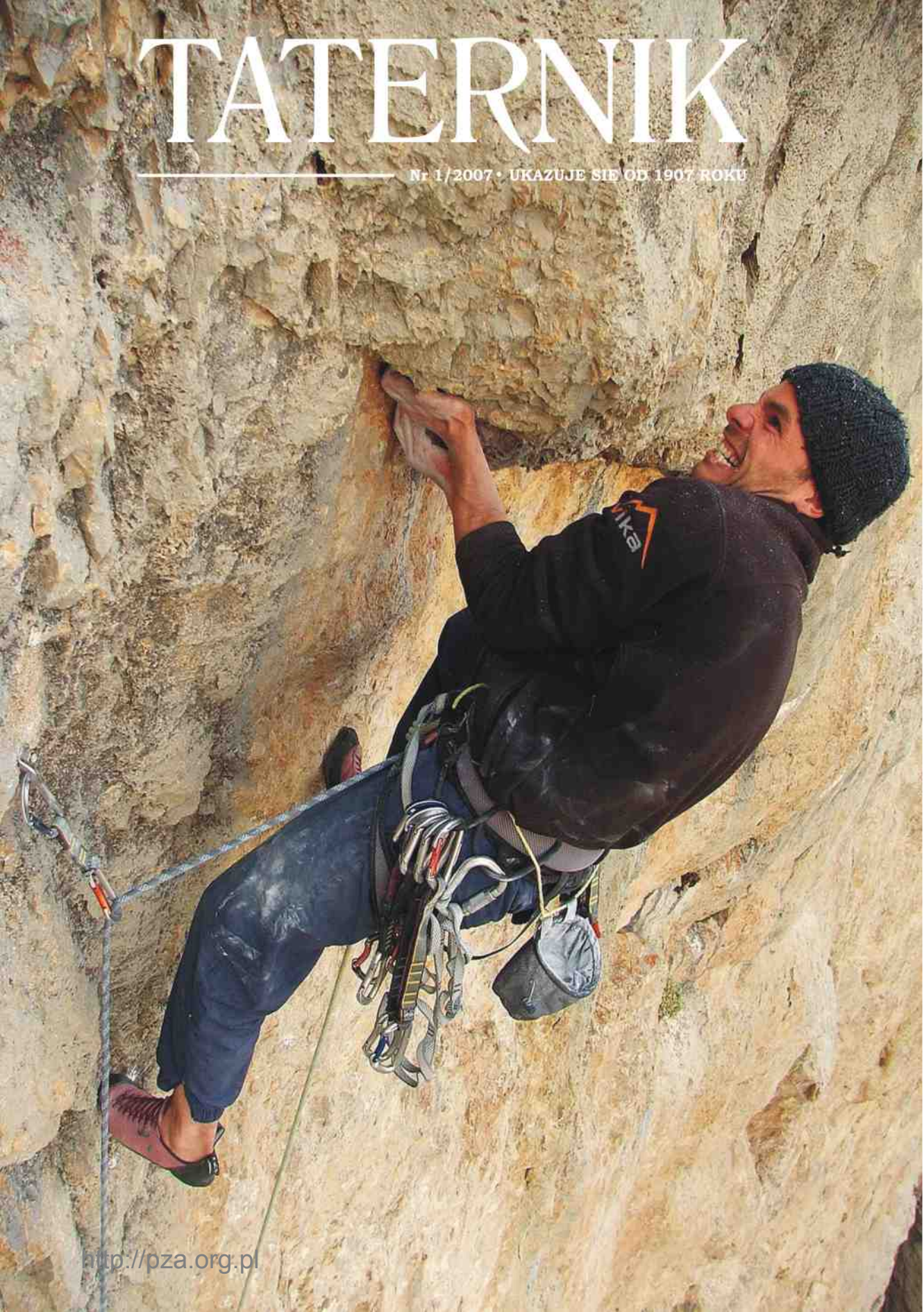


# TATERNIK

Nr 1/2007 • UKAZUJE SIĘ OD 1907 ROKU





## SPIS TREŚCI

Od redakcji.....	1
Restytucja Klubu Wysokogórskiego (J. Nyka).....	2
Günter Oskar Dyhrenfurth (Paweł Kukurowski).....	3
Powrót do Miyar (M. Król).....	7
Pakistańskie migawki (T. Dziegielewski).....	9
Wyprawa na Passu Sar (P. Pawlus).....	13
Łodzianie w Kirgistanie (A. Pustelnik).....	16
Wyprawa do doliny Kara-Su (J. Stefański i Ł. Depta).....	17
Kaukaz 2006 (P. Karczmarczyk).....	22
Coś z niczego (B. Szybiński).....	29
Pierwsze solo-clean na Zodiaku (M. Raganowicz).....	33
Apel autorów dróg w sprawie TBM.	34
La Liberté (A. Gajewska).....	35
Polski sezon zimowy w Alpach.....	38
Góry Ruwenzori (M. Kochańczyk).....	40
Feichtnerschacht 2006 (J. Nowak).....	42
Hagengebirge 2002–2006 (D. Bartoszewski).....	44
Wspinaczka sportowa (R. Nowak).....	46
Narciarstwo wysokogórskie.....	52
Rozmaitości.....	54
Nowości wydawnicze.....	61
Pożegnania.....	62

Okładka: Borek Szybiński na szóstym wyciągu drogi *Creatio ex Nihilo* w Aladaglar (Turcja).  
Fot. M. Cincio

Obok: Gulmit Tower. Fot. T. Dziegielewski

IV strona okładki: Północna ściana Siguniang w chińskich górach Qonglai Shan.  
Fot. Kenzo Ozawa

## Od redakcji

Prezentujemy pierwszy tegoroczny numer magazynu „Taternik”, który począwszy od tego numeru będzie ukazywać się równolegle w wersjach drukowanej i internetowej. Wydawcą i wyłącznym dystrybutorem edycji drukowanej Taternika jest począwszy od tego numeru Antykwariat Górski „Filar”, Henryk Rączka, 25-753 Kielce, ul. Alabastrowa 98, (<http://www.antykwariat-filar.pl>).

Cena wydania w wersji drukowanej została ustalona na 10 złotych. Wydawcą i dystrybutorem wersji internetowej jest Polski Związek Alpinizmu. Wydania internetowe (<http://pza.org.pl/taternik>) będą dostępne za opłatą w wysokości 5 złotych, a dochody z tego tytułu zasila Fundusz Berbeki.

Związane z „Taternikiem” plany Zarządu Polskiego Związku Alpinizmu na rok 2007 są następujące: w kwietniu i we wrześniu ukażą się dwa wydania biuletynu, natomiast przed Walnym Zjazdem Delegatów PZA przewidzianym na 24 i 25 listopada 2007 zostanie wydany numer jubileuszowy. Jesteśmy bowiem w roku, w którym upływa 100 lat od ukazania się pierwszego numeru „Taternika”, podówczas organu Sekcji Turystycznej Towarzystwa Tatrzańskiego.

W obecnym numerze znajdziemy w dużej części remanenty roku 2006. Szereg wypraw i wyjazdów, które odbywały się jesienią, z braku czasu i miejsca nie mogło być szerzej omówionych w numerze „Taternika” 3-4/2006, z kolei kilka ekip spóźniło się z nadesłaniem informacji.

Z artykułów rocznicowych polecam tekst Józefa Nyki o ważnym wydarzeniu w życiu organizacyjnym taternictwa – restytucji Klubu Wysokogórskiego w roku 1956, który był jednocześnie rokiem „odwilży” politycznej, a także artykuł Pawła Kukurowskiego, studenta historii na Uniwersytecie Wrocławskim, piszącego pracę magisterską na temat życia i działalności Güntera Oskara Dyhrenfurtha, „profesora himalajskiego” i członka honorowego PZA.

W numerze nie zabraknie oczywiście aktualności, zarówno z dziedziny alpinizmu jak i wspinaczki sportowej. Jak zwykle czytelnik znajdzie dział poświęcony nowościom wydawniczym oraz, niestety, dział pożegnań. Nie zabraknie również artykułów o działalności jaskiniowej, choć w tej dziedzinie konkurencją dla „Taternika” są czasopisma specjalistyczne. Moment, w którym ukazuje się pierwszy numer naszego biuletynu, nie jest korzystny dla narciarstwa wysokogórskiego, którego sezon zazwyczaj kończy się w maju. Nie jesteśmy więc w stanie podać końcowych wyników zmagania o Puchar Polski w tej dyscyplinie sportowej. Z różnych powodów niewiele też można napisać o sezonie alpejskim, a dla omówienia zimowego sezonu tatrzańskiego znajdzie się miejsce w następnym numerze.

*Janusz Kurczab*

## Odrodzony Klub Wysokogórski 1956–2006

Józef Nyka

Ze świętowaniem rocznic może przesadzamy, ale przecież „Taternik” sam obchodzi swój okrągły jubileusz, a tej jednak rocznicy nie wolno przeoczyć w żadnym razie. Jest okrągłym półwieczem wyjścia przez nasze środowisko z kryzysu organizacyjnego, w jakim znalazło się ono w latach 1951–56 w wyniku narzucanych przez władze, politycznie umotywowanych reorganizacji. Restytucja KW w grudniu 1956 r. oznaczała odzyskanie dawnej samodzielności – pod życzliwymi skrzydłami GKKF. Postulat przywrócenia przedwojennej nazwy i struktury wypłynął rok wcześniej na Plenum Sekcji Alpinizmu na Kalatówkach. Projekt zmian przygotowało grono wyłonione przez Prezydium Sekcji z szeroko ustosunkowanym Wawą Żuławskim na czele.

Po żmudnych uzgodnieniach z władzami, zwołano do Warszawy Nadzwyczajną Radę Aktywu Sekcji Alpinizmu ZG PTTK. Odbyła się ona 8 grudnia 1956 r. w sali ZG przy ul. Senatorskiej, wzięło w niej udział przeszło 50 delegatów sekcji oddziałowych jak i liczne grono dawniejszych działaczy, w sumie około 100 osób. Jak podała ówczesna prasa, gorącą owacją przywitano prof. Klemensiewicza, który rok wcześniej wrócił z emigracji. Dyskusja była burzliwa, nabierało się bowiem problemów. Najważniejszą konkluzję stanowiła jednogłośnie uchwalona decyzja o rozwiązaniu Sekcji Alpinizmu PTTK-GKKF i powrocie do utraconej suwerenności.

Na dzień następny (9 grudnia) przewidziano Walny Zjazd Delegatów. Przyjęli oni przygotowany statut i formalnie przywrócili do życia Klub Wysokogórski. Miał on wówczas ok. 1000 członków, 16 kół terenowych i 5 sekcji taternictwa jaskiniowego. Prezesem został główny architekt odnowy, Wawrzyniec Żuławski (dotąd przewodniczący Sekcji Alpinizmu), w skład prezydium weszli jako wiceprezesi Adam Dobrowolski, Jerzy Hajdukiewicz i Zdzisław Kozłowski, jako sekretarz Andrzej Zawada (zastępca Ryszard Karpiński) i Jan Staszek w roli skarbnika (od r. 1957 zastąpiony przez Wojsznisa). Tak się złożyło, że z całego tego grona nie żyje już

nikt. Członkami zarządu zostali Paweł Czaratorski, Jan Długosz, Antoni Janik, Kazimierz Kowalski, Tadeusz Nowicki, Ryszard W. Schramm, Roman Śledziwski, Marek Stefański, Zofia Strumiłło. Do prac w Komisji Rewizyjnej i Sądzie Koleżeńskim włączyli się starsi działacze, m.in. Bolesław Chwaściński, Justyn Wojsznis, Jerzy Maślanka, Stanisław Groński, Tadeusz Orłowski. Nie było w całym nowym składzie Witolda H. Paryskiego ani czynnego dotąd w zarządach Zdzisława Dziędzielewicz. Zjazd anulował klasyfikację sportową, siedzibą Klubu uczyniono Warszawę, „Taternika” przeniesiono z Zakopanego do Krakowa, stanowisko redaktora powierzając Janowi K. Dorawskiemu (choć faktycznie został nim Antoni Wala).

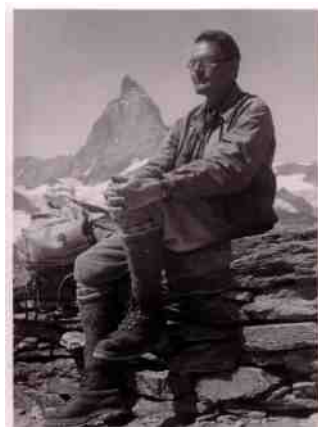
Ważne dla rozwoju alpinizmu novum stanowił sposób finansowania Klubu: podstawą była dotacja GKKF, a na sport rząd wtedy grosza nie szczędził. Opieka resortu sportu ułatwiała też wyjazdy zagraniczne, choć jeśli chodzi o Alpy, pierwsze lody pękły już wiosną 1956 roku. Odzyskanie osobowości prawnej umożliwiło klubowi powrót w szeregi UIAA. Starannie przygotowany schemat organizacyjny KW sprawdził się w całości, tak samo jak statut, który – z niewielkimi zmianami – dotrwał do r. 1974. Przewidziane w planie komisje robocze utrzymały się po części do dzisiaj! Taternictwo uwolniło się od opieki PTTK, ale więzi nie zostały zerwane. Walny Zjazd podjął uchwałę, w której uznaje PTTK za bratnią organizację i zobowiązuje nowy ZG KW do nawiązania rozmów z ZG PTTK i jego Komisją Turystyki Górskiej „w celu szczegółowego ustalenia form dalszej współpracy”.

Niestety, Żuławski pełnił swój urząd tylko 8 miesięcy – po jego tragicznej śmierci 18 sierpnia 1957 r. obowiązki prezesa powierzono Tadeuszowi Orłowskiemu a w skład zarządu włączono Zbyszka Skoczylasa. Siedzibę KW wiosną przeniesiono (znowu na krótko) z ul. Senatorskiej do lokalu przy Al. Ujazdowskich 22. O personalnych wynikach Zjazdu poinformował „Taternik” 1/1957 s. 1-2, jednak całość historycznego spotkania nie doczekała się omówienia.

## Günter Oskar Dyhrenfurth

Paweł Kukurowski

12 listopada 2006 r. minęło 120 lat od urodzin, 14 kwietnia 2007 r. zaś przypadnie 32. rocznica śmierci Güntera Oskara Dyhrenfurtha, światowej sławy alpinisty i profesora geologii, zwanego „profesorem himalajskim”. Osobom interesującym się tematyką wspinaczkową w Polsce kojarzy się on przede wszystkim jako autor słów o drugiej górze ziemi, K-2: „Góra gór, której żadna inna dorównać nie może pięknnością”. Niektórzy natomiast – zainteresowani historią taternictwa – z pewnością wiedzą o jego pierwszych wejściach w Tatrach w latach 1906-1907, oraz o nieco mniej chwalebny epizodzie – mianowicie o udziale w tzw. „engischaliadzie”. Są to jednak za ledwie drobne epizody z przebogatego życiorysu tego niezwykle człowieka, dlatego uznałem za sensowne i celowe przybliżenie czytelnikom „Taternika” wybranych, a przypuszczalnie nieznanym szerzej wydarzeń związanych z ową postacią.



Günter O. Dyhrenfurth  
w 1945 r. w Zermatt.  
Arch. N. Dyhrenfurtha

Günter Oskar Dyhrenfurth urodził się we Wrocławiu 12 listopada 1886 r. Jego ojciec – dr Oskar Robert Dyhrenfurth (1850-1932) – był znanym wrocławskim ginekologiem i działaczem wrocławskiej sekcji Niemiecko-Austriackiego Związku Alpejskiego[i], matka zaś – Käthe (z domu Bayer) – córka śląskiego malarza szkoły późnoromantycznej Hermanna Bayera.

Po uzyskaniu w 1904 r. świadectwa dojrzałości (ukończył Królewskie Gimnazjum Fryderyka we Wrocławiu) rozpoczął Dyhrenfurth studia geologiczne – najpierw jeden semestr na Uniwersytecie Ludwika Alberta we Fryburgu Bryzgowijskim, następnie dwa semestry we Wrocławiu, jeden semestr w Wiedniu i ponownie we Wrocławiu – sześć semestrów. Studia uwieńczył uzyskaniem tytułu doktora w czerwcu 1909 r. (egzaminacje doktorskie zdał 16, promocję doktorską otrzymał 28 tego miesiąca).

W latach 1909-1912 współpracował z doktorem Albrechtem Spitzem z Wiednia, poświęcając czas przede wszystkim na zbadań Dolomitów Engadyńskich (obecnie teren Szwajcarskiego Parku Narodowego) i opracowanie ich mapy. Badanie te rozpoczął jeszcze podczas studiów (w 1906 r.). W tym czasie 3-4 miesiące (latem) spędzał w Alpach, pozostałą część roku – w Instytucie Geologicznym we Wrocławiu. Prace te zakończył ostatecznie jesienią 1912 r., zimą 1913 r. zaś ukazała się w „Beiträgen zur Geol. Karte d. Schweiz” jego „Monographie der Engadiner

Dolomiten zwischen Schuls, Scansf und dem Stilsfer Joch“. Część zgromadzonych w toku tych badań materiałów posłużyła Dyhrenfurthowi do napisania rozprawy habilitacyjnej, którą obronił 25 października 1913 r. Dwa dni wcześniej – 23 października – otrzymał *venia legendi* (zezwolenie na wykładanie na wyższej uczelni) z geologii i paleontologii.

Podczas I wojny światowej G. O. Dyhrenfurth działał jako referent alpejski na froncie tyrolskim (Dolomity i grupa Ortler). Dzięki swej rozwadze i górskiemu doświadczeniu, udało mu się zapobiec wielkim stratom podczas lawiniastej zimy 1916 r.[ii]

W 1919 r. Dyhrenfurth został mianowany profesorem tytularnym, a na mocy pisma kuratora Uniwersytetu Wrocławskiego z 22 lipca 1922 r. otrzymał stopień profesora nadzwyczajnego.

W 1906 r. Dyhrenfurth (dwudziestoletni wówczas) zakochał się w liczącej dopiero 14 lat Hettie Heymann, którą poślubił 10 maja 1911 r. Ze związku tego urodziła się Dyhrenfurthom trójka dzieci. Najmłodszym z nich był Norman, który przyszedł na świat w 1918 r. Jak się potem okazało, stał się on godnym następcą ojca na wspinaczkowym polu.

W roku, w którym G. O. Dyhrenfurth został profesorem nadzwyczajnym, sytuacja gospodarcza Niemiec (do których należał wówczas Wrocław i Dolny Śląsk), była trudna, co miało związek z następstwami niedawno zakończonej I wojny światowej (Niemcy na

mocy postanowień traktatu wersalskiego musiały m.in. płacić wysokie odszkodowania). Coraz większe rozmiary zaczęła przybierać inflacja, która w roku 1923 przekształciła się w hiperinflację. Wydarzenia te nie pozostały bez wpływu na losy rodziny Dyhrenfurthów. W 1923 r. musiała ona zrezygnować z zamieszkiwania w pałacyku na Karłowicach[iii] i przeprowadziła się do Salzburga (Austria). Trzy lata później Dyhrenfurthowie osiedlili się w Zurychu (Szwajcaria)[iv]. Pomimo opuszczenia Niemiec, G. O. Dyhrenfurth zachował stopień profesora nadzwyczajnego Uniwersytetu Wrocławskiego.

30 stycznia 1933 r. kanclerzem Niemiec został Adolf Hitler. Rozpoczął się najciemniejszy etap historii tego państwa. Większość niemieckich naukowców szybko przystosowała się do nowych warunków i nie sprzeciwiała „brunatnej władzy” – NSDAP. G. O. Dyhrenfurth jednak, w proteście przeciw reżimowi Hitlera, złożył swą profesurę w Niemczech[v]. Ponieważ – jak wspomniano – od lat miejscem jego zamieszkania była Szwajcaria, mógł uzyskać obywatelstwo szwajcarskie. W 1939 r. Dyhrenfurth przeprowadził się do St. Gallen i od września tego roku był tam nauczycielem. Od 1953 r. nowym miejscem jego zamieszkania stał się Ringgenberg (kanton Berno). Trzy lata później Dyhrenfurth przeszedł na emeryturę jako profesor zwyczajny. W tym samym 1956 roku otrzymał prestiżowe odznaczenie państwowe – Wielki Krzyż Zasługi Republiki Federalnej Niemiec. Zmarł 14 kwietnia 1975.

Swą wspinaczkową aktywność rozpoczął Dyhrenfurth w 1897 r. (a więc w wieku 11 lat!) w grupie Ortler. Pierwszy czterotysięcznik – Jungfrau (4158 m) – zdobył w 1903 r. W wyprawach tych brał udział pod opieką ojca, a samodzielnym wspinaczem stał się w 1904 r., gdy ukończył 18 lat.

W latach 1903-1905 uczestniczył on w co najmniej 5 wyprawach wspinaczkowych w Sudety. W dniu 16 maja 1903 r., w towarzystwie swego ojca oraz dwóch znanych w historii taternictwa Niemców śląskich: Paula Habela i Ludwiga Noacka, 17-letni wówczas G. O. Dyhrenfurth wspinał się na Sokolik Mały (niższy o metr od bliźniaczego Sokolika Dużego, na który już wówczas prowadziły metalowe schody). Było to prawdopodobnie pierwsze wejście na ten cieszący się dziś dużą popularnością wśród wspinaczy szczyt[vi].

Podczas pozostałych czterech sudeckich wypraw wspinał się w Karkonoszach – m.in. w Śnieżnych Kotłach, kotle Wielkiego Stawu i prawdopodobnie w Kotle Łomniczki (wszystkie te karkonoskie wyprawy odbywały się w warunkach zimowych, z reguły na przełomie grudnia i stycznia). Ponadto w Sudetach Dyhrenfurth urządzał górskie wyprawy zimowe na nartach – w Karkonosze, Jeseniki i góry otaczające Kotlinę Kłodzką. Pisząc o tym alpinistycznie nie sposób nie wspomnieć o taternickiej karcie jego życiorysu. Dyhrenfurth był w Tatrach czterokrotnie: w 1905, 1906 i 1907, a następnie w 1915 r. Wyprawom z lat 1906-1907 nie ma potrzeby poświęcać wiele miejsca, gdyż są dobrze opisane w polskiej literaturze. Natomiast warto wspomnieć, że podczas pierwszej wyprawy (w 1905 r.) Dyhrenfurth wszedł m.in. na Gerlach, Łomnicę, Małą Wysoką, Kończystą i Osterwę (wszystkie te szczyty zdobył w towarzystwie przewodnika).

W tym miejscu należy jednak nadmienić także o nieco ciemniejszej stronie taternic-



G. O. Dyhrenfurth w 1945 r.

Arch. N. Dyhrenfurtha

kiego epizodu życia Dyhrenfurtha, mianowicie o jego współdziałanie w ataku na Karola Englischa. Sprawę tę opisał dokładnie Bolesław Chwaściński, pozostaje zatem tylko krótko ją przypomnieć. W artykule pt. „Alpine Falschungen” (opublikowanym w 1907 r. w „Österreichische Alpenzeitung”[vii]) Dyhrenfurth napisał, że przechodząc z Rumpeltem grań Solisk, nie dostrzegł śladów Englischa, oprócz Wielkiego i Pośredniego Soliska, stwierdzając w ten sposób, iż to oni są pierwszymi zdobywcami tej grani, a nie Englisch – co ów rzekomo sugerował. Poparł także zgłaszane przez Heinricha Fabescha pretensje, iż to on właśnie jest pierwszym zdobywcą Wielkiego Kościoła. Przyszłość pokazała, że zarzuty Dyhrenfurtha, jak również biorących udział w nagonce na Englischa Alfreda Martina i Romana Kordysa, były bezpodstawne. Czemu zatem Dyhrenfurth zaatakował Englischa? Wydaje się, iż – jakkolwiek ostro to może zabrzmieć – w grę wchodziła tzw. urażo-



G. O. Dyhrenfurth w Alpach Pennińskich w 1940 r. Na dalszym planie Zinalrothorn i Weisshorn.

#### Arch. N. Dyhrenfurtha

na miłość własna (chodziło przecież o pierwsze wejścia!). Jednocześnie jest więcej niż pewne, że cała sprawa nie sprowadzała się do czysto personalnego konfliktu między tymi dwoma wspinaczami (w liście do Bolesława Chwaścińskiego z 29 listopada 1966 r. Dyhrenfurth napisał, że Englischa nigdy nie widział).

Stopniowo Dyhrenfurth poświęcał się coraz bardziej swemu życiowemu dziełu – odkrywaniu Himalajów i Karakorum. W 1930 r. – po-

mimo trwającego światowego kryzysu gospodarczego, który prawie w całości pochłoniął majątek Dyhrenfurthów (składający się w większości z posagu Hettie) – bohater tego artykułu stanął na czele międzynarodowej wyprawy w Himalaje. Jej celem było zdobycie Kangchendzöngi (8586 m). Góra jednak atak odparła i po naradzie zdecydowano się z niej wycofać obierając za cel dziewiczy siedmio-tysięcznik Jongsang Peak (7459 m). Jego zdobycie w dniu 3 czerwca 1930 r. przez Hermanna Hoerlina i Erwina Schneidera było rekordem wysokościowym owych czasów! 5 dni później – 8 czerwca – drogą pierwszych zdobywców na szczyt Jongsang Peak dotarł także sam G. O. Dyhrenfurth, Marcel Kurz, Frank S. Smythe i Ulrich Wieland oraz tragarze Lewa i Tsering-Norbu. Dyhrenfurth, który używał tlenu, przeszedł następnie samotnie na południowo-wschodni niższy wierzchołek (7422 m).

Cztery lata po tym znaczącym sukcesie

Dyhrenfurth został kierownikiem kolejnej ekspedycji, która „na celownik” wzięła inny ośmiotysięcznik – tym razem był nim Gasherbrum II (8034 m) w Karakorum. Podobnie jak kilka lat wcześniej, okazało się, że zdobycie szczytu przekracza możliwości wyprawy i tak jak poprzednio za cel obrano „tylko” siedmiotysięcznik – Sia Kangri (7422 m), na który 12 sierpnia 1934 r. weszli jako pierwsi Hans Ertl i Albrecht Höcht. Później na wierzchołek dotarł także G. O. Dyhrenfurth oraz uczestnicząca w wyprawie jego żona Hettie, która ustanowiła tym samym kobiecy rekord wysokości, pobity dopiero 20 lat później przez Claude Kogan na Cho Oyu.

Himalajskie ekspedycje kierowane przez Dyhrenfurtha zyskały światowy rozgłos. Jemu i jego żonie przyniosły złote medale w roku 1936 na igrzyskach olimpijskich w Berlinie (Prix d’Alpinisme). Jednakże ważniejszym niż te zewnętrzne oznaki czci była dla niego fakt, że stał się uznanym w świecie zdobywcą himalajskich szczytów. Do końca życia działał jako ekspert i kronikarz eksploatacji tych najwyższych gór Ziemi, zdobywając

przydomek „profesora himalajskiego”.

Bilans wspinaczkowych osiągnięć Dyhrenfurtha przedstawia się imponująco – w czasie swego długiego życia wszedł on na ok. 1000 (!) szczytów, w tym 3 siedmiotysięczniki, 2 sześciotysięczniki, 1 pięcioletysięcznik i aż 64 czterotysięczniki. W górach Europy miał 60 pierwszych wejść i nowych dróg.

Na koniec kilka zdań należy powziąć o działalności Dyhrenfurtha w rozmaitych stowarzyszeniach górskich. Był on członkiem honorowym Alpine Club, Club Alpino Italiano, Austriackiego Klubu Alpejskiego, Szwajcarskiego Klubu Alpejskiego, Klubu Wysockogórskiego i Polskiego Związku Alpinizmu. W młodości działał m.in. w śląskiej sekcji Węgierskiego Towarzystwa Karpackiego[viii] i we wrocławskiej sekcji Niemiecko-

Austriackiego Związku Alpejskiego, której – jak wspomniano – przewodniczył przez wiele lat jego ojciec. Po przejściu władzy przez nazistów wystąpił ze „zgleichszaltowanego” Niemiecko-Austriackiego Związku Alpejskiego[ix], a w 1938 r. – z Austriackiego Klubu Alpejskiego. W rodzinnym mieście Dyhrenfurtha – Wrocławiu – niewiele osób wie o tej niezwykle znanej w kręgach alpinistycznych (zwłaszcza w kontekście Himalajów) postaci. „Profesor himalajski” nie doczekał się w stolicy Śląska żadnej tablicy pamiątkowej, choć od kilku lat trwa w nadodrzańskim mieście akcja upamiętniania osób, związanych z konkretnymi budynkami czy miejscami. Miejmy nadzieję, że już niedługo ten stan rzeczy ulegnie zmianie.

[i] Dr Oskar Dyhrenfurth należał do grona założycieli tej powstałej w listopadzie 1877 r. sekcji (w oryginalnym brzmieniu: Sektion Breslau des Deutschen und Österreichischen Alpenvereins) i został wybrany do jej pierwszego zarządu jako jeden z 3 ławników. Od roku 1895 nieprzerwanie pełnił funkcję przewodniczącego. W 1925 r., ze względu na podeszły wiek (75 lat), zrezygnował z tej funkcji. Za swą 30-letnią działalność „sternika” otrzymał od zarządu sekcji prestiżowy tytuł „honorowego przewodniczącego”. Oskar Dyhrenfurth sporo podróżował i wspinął się w rozmaitych pasmach górskich. Jest wysoce prawdopodobne, że dzięki tym wyprawom rozbudził w synu miłość do gór i chęć wspinania się (był zresztą opiekunem i „towarzyszem na linie” małoletniego Güntera Oskara, zanim ten nie osiągnął pełnoletniości).

[ii] Podczas I wojny światowej na froncie tyrolskim zginęło łącznie 150-180 tys. żołnierzy, z czego 1/3 zmiotły lawiny!

[iii] Karłowice to dziś jedno z wrocławskich osiedli, lecz wówczas były one wsią położoną koło miasta.

[iv] Do Zurychu przeprowadził się w grudniu 1926 r. ojciec G. O. Dyhrenfurtha, by „być bliżej syna”.

[v] W 1938 r., już po aneksji Austrii przez Hitlera (tzw. Anschluss), Dyhrenfurth w liście do Austriackiego Klubu Alpejskiego, w którym ogłosił swoje żeń wystąpienie, napisał następująco: „Jako Szwajcarowi i demokracji niemiecki narodowy socjalizm jest mi obcy”.

[vi] W sprawozdaniu z tej wspinaczki (zamieszczonym w „Schlesische Zeitung”) ojciec G. O. Dyhrenfurtha napisał, że nie odkryli oni na wierzchołku żadnych śladów świadczących o pobycie tam kogokolwiek przed nimi. Zdobywcy z maja 1903 r. usypali na szczycie niewielką piramidę z kamieni.

[vii] W 29. sprawozdaniu śląskiej sekcji Węgierskiego Towarzystwa Karpackiego (za okres: marzec 1907 – styczeń 1908), której członkiem był Dyhrenfurth od 1905 r., artykuł ten został zasygnalizowany następująco: „W <<Austriackiej Gazecie Alpejskiej>> student geologii Dyhrenfurth podjął – nadając jej tytuł „Alpejskie fałszerstwa” – niszczącą krytykę tzw. pierwszych wejść dr Karola Englisha, opisywanych od lat w roczniku Węgierskiego Towarzystwa Karpackiego i przekonująco wykazał, że owe wzruszające bohaterkie czyny, tak chętnie podziwiane na Węgrzech, rażą chęłpieniem się i świadomym zwodzeniem [czytelnika]”.

[viii] Miał m.in. swój niewielki wkład w rozbudowę „Śląskiego Domu”, czyli schroniska w tatrzańskim Dolinie Wielickiej nad Wielickim Stawem, wpłacając specjalnie na ten cel 5 marek i 5 fenigów (dla porównania – roczna składka członkowska stowarzyszeń górskich działających w tamtych czasach na Dolnym Śląsku wynosiła zwykle 3 marki i nie była to kwota zbyt wysoka, skoro na przełomie XIX i XX wieku można było za nią przejechać z Wrocławia do Sobótki i z powrotem w wagonie III klasy).

[ix] Niemieckie słowo „gleichschalten” oznacza „ujednolicać”. Termin „gleichszaltować” stosuje się na określenie praktyk w okresie III Rzeszy, kiedy to władze starały się podporządkować sobie wszelkie przejawy życia narodu niemieckiego – także życia społecznego (do przejawów którego zaliczyć można m.in. udzielanie się w rozmaitych stowarzyszeniach) i je ujednolicać (np. poprzez łączenie kilku organizacji o zbliżonym profilu działalności w jedną, której poczynania łatwiej było kontrolować).

## Powrót do Miyar

Michał Król



Baza wysunięta na lodowcu Tawa

Dolina Miyar, leżąca w indyjskiej części Wielkich Himalajów, ciągnie się na długości ponad 100 kilometrów – od Udaipur do przełęczy Kang La.

Miejscowa ludność – Tharangowie – zajmująca się pasterstwem i uprawą roli, chętnie pomaga nielicznym ekspedycjom odwiedzającym te tereny. Także i naszej, drugiej polskiej ekspedycji do tej doliny, miejscowi nie odmówili pomocy. W wyprawie w 2006 roku udział wzięli: Michał Apollo, Michał Król, Przemysław Wójcik i Marek Żołądek.

Dolina jest stosunkowo trudno dostępna, o czym przekonaliśmy się już na samym początku. W drodze z Manali do Tingrad pierwszą przeszkodą okazał się zerwany most w wiosce Gompa. W tym miejscu dalsza droga naszą terenową „tata” stała się niemożliwa. Przenieśliśmy nasz bagaż przez kładkę, gdzie udało nam się załatwić ciężarówkę, która dowiozła nas do wioski Tingrad. W Tingrad spotkała nas kolejna przykra niespodzianka. Okazało się, że nie możemy użyć do transportu koni, z których korzystaliśmy przed rokiem z Davidem. Spowodowane było to zerwaniem mostu w Chaling. Plan wymagał modyfikacji. Zamiast koni musieliśmy wynająć ludzi potrzebnych do transportu około 300 kilogramów bagażu. Podczas pięciogodzinnych negocjacji dotyczących zapłaty udało nam się zbić o połowę żadaną cenę i wynająć 11 tragarzy. Tingrad opuszczamy

rankiem następnego dnia. Dystans z Tingrad do Base Campu (ok. 30 km) zajmuje nam 2 dni marszu. Pogoda nie rozpieszczała nas, przez pierwsze 3 dni padał deszcz. Mimo niepewnej pogody postanowiliśmy uderzyć.

Michał Król z Przemkiem Wójcikiem udali się w celach aklimatyzacyjnych na pn.-zach. ścianę szczytu Tama Donog (ok. 5245 m), wznoszącego się nad doliną lodowca Nameless. Bazę wysuniętą założyli na wysokości około 4237 m. Już następnego dnia, po przybyciu do bazy i uprzednim zlustrowaniu planowanej linii, wbili się w ścianę. Po przejściu ok. 500 m drogi, prowadzącej głównie systemem rys, nastąpiło załamanie pogody. Zespół został zmuszony do spędzenia zimnego biwaku.



Michał Król w zacięciu VII na ścianie Tama Donog

Drugiego dnia, po przejściu łatwiejszej, 500 m części drogi, wiodącej granią, dnia 14 sierpnia stanęli na szczycie. Było to prawdopodobnie drugie wejście na ten szczyt. Powstała droga Skazani na Miyar, VIII-, OS, ok. 1000 m, 31 godz.

W tym samym czasie Michał Apollo z Markiem Żołądkiem eksplorowali leżącą po drugiej stronie rzeki Miyar dolinę, z zamiarem wytyczenia nowej drogi na pn.-zach.

ścianie dziewiczego szczytu, przypominającego Grandes Jorasses, o wysokości ok. 6000 m. Po założeniu bazy wysuniętej na wys. 5000 m, postanowili zaatakować ścianę mikstowym zacięciem prowadzącym na szczyt. W przeddzień ataku obfite opady śniegu sprawiły, że mimo 3-dniowego oczekiwania, nie nastąpiła poprawa pogody. Zespół został zmuszony do zejścia do B.C.

Kolejne dni przeznaczyliśmy na regenerację sił przed wyjściem na Lodowiec Tawa. Przedłużyła się ona do tygodnia z powodu niekorzystnych warunków pogodowych.

Dopiero 21 sierpnia udało nam się wyruszyć na lodowiec Tawa. Przeniesienie bazy na wysokość ok. 4859 m trwało dwa dni. Obóz założyliśmy w miejscu, gdzie przed rokiem stała baza włoska.

Po dniu wypoczynku, w którym udaliśmy się na rekonesans, Marek Żołądek z Michałem Apollo zdecydowali się na wytyczenie drogi w śnieżno-lodowym terenie na górze znajdującej się w grani pomiędzy lodowcem Thunder i lodowcem Tawa. Po 14 godz. akcji wytyczona została śnieżno-lodowa droga o trudnościach WI 4 i długości ok. 800 m na dziewiczym szczycie, który otrzymał nazwę Masala Peak (ok. 5650 m).

Planowany cel wyprawy, jakim była pd.-wsch. ściana Mahindry, został zmieniony. Po rekonesansie okazało się, że komin, którym chcieli wytyczyć drogę jest zbyt kruchy i niebezpieczny. Kolejne dni przyniosły załamanie pogody, padał deszcz ze śniegiem. W nocy 27 sierpnia wreszcie wypogodziło się. Korzystając z okazji zdecydowaliśmy się na działanie. Marek Żołądek z Michałem Apollo wybrali się na leżący na końcu doliny, dziewiczy szczyt. Natomiast Michał Król z Przemkiem Wójcikiem wbili się w pd.-zach. ścianę szczytu znajdującego się na prawo od Lotos Peak. Próba ta powiodła się. Dolna część drogi prowadziła najpierw terenem mikstowym (ok. 250 m),



Linia drogi Geruda Peak

a kolejno łatwym i dość kruchym. Następnie, już w pionowych kominach i rysach pokonali drugą część ściany. Trzy wyciągi przed szczytem warunki pogorszyły się, śnieg i deszcz ze śniegiem utrudniły im wspinanie, co przyczyniło się do tego, że Michał na przedostatnim wyciągu musiał „przyazerować”.

Geruda Peak, VII+, 1 x A0, lód 50-60 stopni, ok. 900 m, 21 h

W tym czasie Marek Żołądek z Michałem Apollo po przejściu 9 wyciągów lodowych musieli przerwać wspinanie z powodu załamania pogody. Opady śniegu i kontuzja Przemka nie pozwoliły nam na dalszą działalność, i zmusiły nas do odwrotu z doliny lodowca Tawa.

## Pakistańskie migawki czyli Polish Gulmit Tower Expedition 2006

Tekst i zdjęcia: Tadeusz „Mazeno” Dziegielewski

Kuby jeszcze nie ma. Na środku pokoju, vis'a'vis kominka, leży około 100 kilogramów żarcia, ciuchów, żelastwa i lin, a dojdą jeszcze bety Kuby. Pokój jest duży i przestronny, lecz graty zajęły taką ilość przestrzeni, że ledwo da się przejść. Moją głowę zaprzęta jedna myśl – wyruszamy tylko we dwojkę, więc nie będzie możliwości rozłożenia na lotnisku kilkudziesięciu kilogramów nadbagażu na grupę kilku trekersów, jaka często towarzyszy wyprawom, co skutkuje ominięciem wysokich opłat za nadbagaż.



Nic to, Baśka!, jak mawiał pewien mały rycerz do Oleńki. Optymistycznie zaczynam wyprawę od pierwszego trzasku migawki na tę setkę kilogramów. Krótco przed północą przyjeżdża Kuba. Kończymy pakowanie i walimy się spać, choćby na półtorej godziny, zanim wyruszymy na lotnisko do Warszawy.

•••

Rawalpindi, Pir Wadai. Najfajniejszy dworzec autobusowy świata. Nawet w Delhi nie ma tak pstrokatych ciężarówek i autobusów, jak tutaj. Na zmianę pilnujemy gratów, chwilo-wo ja się włóczę między autobusami z aparatem wyszukując co ciekawszych egzemplarzy, a Kuba tym razem waruje przy naszych worach. Biegają za mną lokalne chłopaki:

- One picture, one picture!

W końcu ulegam i szczęśliwe małałaty ustawiają się przed jednym z kolorowych autobusów.

- Passport, sir, passport – budzi mnie pomocnik kierowcy. Wyglądam z zaciekawieniem przez okno i widzę tablicę: „Diامر Police”. Szturcham Kubę i obaj

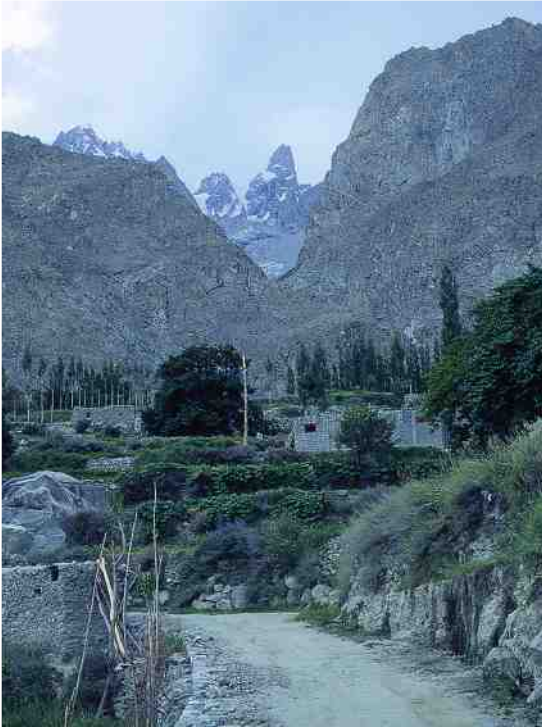


gramolimy się z autobusu w kierunku małego kamiennego bunkra, gdzie czeka na nas „książka wyjść” dla podróżujących Karakoram Highway obcokrajowców. Jesteśmy kilkanaście kilometrów od stóp Diamir – zachodniej ściany olbrzymiej Nanga Parbat. Odżywają we mnie wspomnienia pierwszego wyjazdu do Pakistanu sprzed 10 lat. Kuba wpisuje nas do książki, a ja wyciągam aparat.

Po niespełna dwudniowym postoju na zakupy sprzętowo-żarciowe w Gilgit dojeżdżamy wreszcie do Gulmit. Z poziomu Karakoram Highway rzadko widać góry – jedziemy jednym z najgłębszych kanionów świata, którego ściany tworzą gigantyczne hałdy żwiru i piachu, uformowanego często w pionowe ściany poprzetykane głazami, nie-

rzadko wielkości niezłej kamienicy. Z okien wynajętej taksówki na prawo mamy widok na rozlewisko rzeki Hunzy, zaś po lewej pomiędzy dwoma takimi hałdami ukazuje nam się na moment nasza wieża. Pierwsze ujęcia robimy jej w mglistym otoczeniu chmur.

My znaleźliśmy Ibrahima, Ibrahim znajduje nam czterech tragarzy. Do bazy znajdującej się u podnóża lodowca Bulkish Yaz dochodzimy rankiem drugiego dnia od wyjścia z Gulmit. Ibrahim zostaje i będzie nam kucha-



rzył (czytaj: robił za oficera łącznikowego, bo dolina dzika i nie odwiedzana od kilkunastu lat, a kontakt powyżej bazy tylko przez lornetkę i to nie zawsze), reszta, po wypłacie i premii za nadbagaż oraz umówieniu się na za około trzy tygodnie, schodzi. Po południu wyruszamy zrobić kilka zdjęć huczącemu spadającym kamieniami lodospadowi, który stoi nam na drodze pod naszą wieżą.

Po czterech dniach szukania drogi przez lodospad, wliczając w to wyjście na grań ponad doliną lodowca Bulkish Yaz (z góry można się lepiej zorientować w sytuacji), decydujemy się przetrawersować dolną partię lodospadu na drugą stronę i spróbować przedostać się na lodowiec przez seraki szczeliny brzeżnej, ukrytej w cieniu skał południowej strony doliny – po cichu liczymy, że tam nie

będzie takiego bombardowania kamieniami jak w odsłoniętej, północnej części. W początkowej części lodospadu na błotnisto-szutrowym stożku nasypowym pochyłamy się z aparatami nad... tropami śnieżnej pantery. Bezblędny instykt zwierzęcia poprowadził nas poprzez labirynt szczelin na drugą stronę lodospadu. Samej pantery niestety nie udało nam się zobaczyć.

Ponad dwa dni ciężkich opadów śniegu (w sumie spadło jakieś pół metra) wymusza decyzję o wycofaniu. W tym tempie kolejny dzień sypania i nas całkiem odetnie. Bierzymy na plecy dobrze ponad 50 kilogramów na lba (plus wodę we wszystkim), które wytaszczyliśmy na lodowiec i z wanty zakładamy zjazd między znajdujące się kilkadziesiąt metrów niżej seraki.

Przed nami ponad osiem godzin powrotu do bazy, z której z tymi samymi 50-ma kilogramami dotarliśmy na lodowiec w sześć, a na lekko podczas szukania przejścia w trzy. Zrezygnowany Kuba ze smutną miną startuje pierwszy, ja wyciągam aparat, by uwiecznić naszą sromotę.

Nareszcie w akcji! Dwa dni odpoczywaliśmy, suszyliśmy się, obżeraliśmy się i fotografowaliśmy mieszkające dwa kroki od naszych namiotów jakieś ni to mini-szynszyle, ni to myszokoczki, na które Ibrahim



używa wachańskiego określenia „shishk”. Ponieważ do nadejścia tragarzy mamy jeszcze 4 dni, decydujemy się spróbować jeszcze raz, tym razem na lekko – bierzemy tylko szpej, płachty biwakowe, puchówki, minimum żarcia i jedną puszkę gazu. Namiot, śpiwory oraz cały zapas liofilizatów i gazu zostaje w bazie. Wyruszamy po ciemku i już po dwóch godzinach z minutami łapiemy w obiektyw pierwsze błyski słońca na odległych siedmiotysięcznikach Karun Koh, Lupghur Sar i Momhil Sar, widocznych z górnej części lodospadu. Po kolejnej godzinie wita nas huk obudzonych upalnym słońcem lawin, schodzących kuluarem, którym zamierzamy się wspiąć.

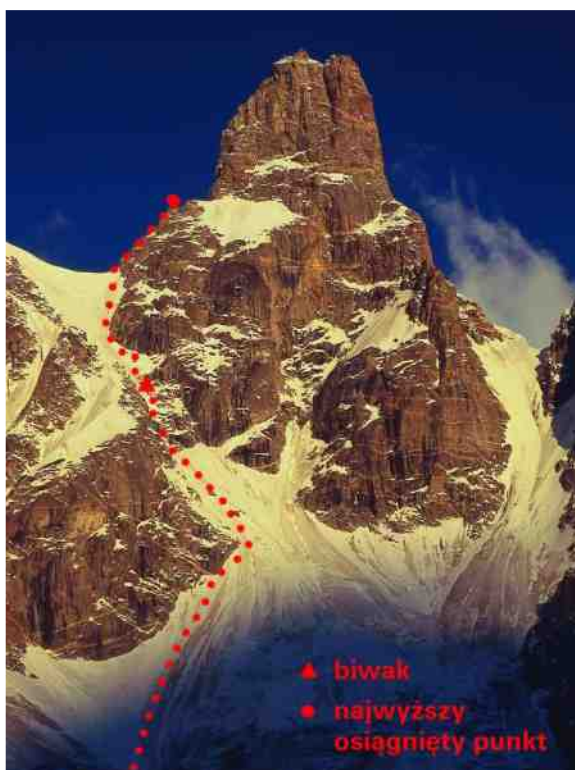
czątek), jednak do najtrudniejszego miejsca na drodze w przewężeniu kuluaru docieramy jeszcze dość żwawo. Ociekający wodą próg wybiera z nas resztkę sił i do wieczora urabiamy jedynie 2/3 kuluaru. W międzyczasie na zmianę zrzucamy na partnera setki kilogramów rozkruszonego dziabkami lodu, co skutkuje kilkoma siniakami i jedną krwawiącą brodą. Po niezbyt lekkiej nocy częściowo wisząc, a częściowo siedząc na połówkach jednej pakistańskiej karimatki, po śniadaniu, podczas obtłukiwania z lodu naszego jedyne kartusza z gazem, ten nagle znika w ciemniejącym poniżej nas zboczach. Brzask poranka zostaje brutalnie przerwany stekiem rzucanych przekleństw. Trochę optymizmu



Gwałtowność porannych lawin wymiotła większość zalegającego w kuluarze śniegu i odsłoniła znajdujący się pod spodem żywy lód. Po pierwszych, dość nerwowych, 300 m wyścigu z czasem, słońcem i ewentualnymi kolejnymi lawinami, dłuższą chwilę odpoczywamy na pierwszym stanowisku pod ścianą ograniczającą kuluar od lewej. Jesteśmy mocno wypłuci z sił i psychy (a to dopiero po-

wlewają w nas pierwsze promienie słońca, które łapię w obiektyw. Pozbawieni wody nie mamy szans na szczyt, ale decydujemy się przynajmniej dokończyć kuluar.

Okolo czwartej po południu zjeżdżamy do przełęczy pod południową granią, oddzielającą lodowiec Bulkish Yaz od Gurpi, opadający w stronę Karimabadu. W chmurach na horyzoncie chowa się Ra-



Karun Koh (7164 m), najwyższy szczyt grupy Ghujerab Mountains, zdecydowanie góruje nad swoim otoczeniem.

kaposhi. Kuba poprowadził ponad przełęczą jeszcze dwa wyciągi zanim zdecydowaliśmy się na wycof. Nie mamy wody, zostało nam po 2 małe batony, Kuba ma przemoczone buty i boi się odmrożeń, ja jestem wykończony i przysypiam na stnach. Półtora dnia wspinania kilometrowym kuluarem non-stop na przednich zębach raków skutkuje zniszczeniem nerwów w stopach. Po kilkunastu zjazdach, około północy zrzucamy na lodowcu wory i momentalnie usypiamy na śniegu.

O piątej rano budzi nas zimno i pragnienie. Przed wyruszeniem do bazy przez ostatni, najbardziej niebezpieczny odcinek lodospadu, żegnamy się z Gulmit Tower, wymalowaną złotymi promieniami wschodzącego słońca.

## Wyprawa na Passu Sar 7478 m

Piotr Pawlus

Celem sportowym wyprawy była eksploracja rejonu lodowca Passu znajdującego się w Karakorum Zachodnim, w grupie górskiej Batura Muztagh, sporządzenie dokumentacji fotograficznej i filmowej tego rejonu oraz zdobycie szczytu Passu Sar 7478 m. Celem naukowym było przeprowadzenie badań reakcji organizmów członków wyprawy na naturalne i symulowane warunki wysokogórskie.

Uczestnikami wyprawy byli: Piotr Pawlus – kierownik, Robert Szymczak – lekarz, Tomasz Wawrzyniak, Tomasz Słodnik i Paweł Kulnicz.

Akcja górską trwała 35 dni, w okresie od 24.06.2006 do 27.07.2006. Od 24 do 27 czerwca wędrowaliśmy z Borit Lake w kierunku głównej bazy wyprawy (4150 m).

Lodowiec Passu, określany jako Ocean Lodu sprostą temu opisowi – budził przerażenie.

1 lipca założyliśmy bazę wysuniętą ABC (4350 m). Wzrok, który padał na lodospad między bazą wysuniętą a obozem I szukał od początku jakiejś potencjalnej drogi przejścia tego zwałiska kawałów lodu i szczelin o siedemsetmetrowym przewyższeniu.

Kilka dni niepogody i lekkie kłopoty z aklimatyzacją kierownika zatrzymały nas w bazie. Paweł Kulnicz podczas zejścia z bazy do wioski Passu uległ wypadkowi, doznał urazu kolana. Został przeniesiony na noszach do wioski Passu, skąd pojechał do szpitala w Aliabadzie. Uraz kolana był poważny i zmusił go do opuszczenia wyprawy i powrotu do kraju.

5 lipca, pozostawiając walczącego z infekcją gardła kierownika, wyruszyliśmy z bazy przez Patundas na rekonesans grani obejmującej lodowiec Passu od południowego wschodu. Pierwszy cel rekonesansu, którym



Lodowiec Passu i jego otoczenie



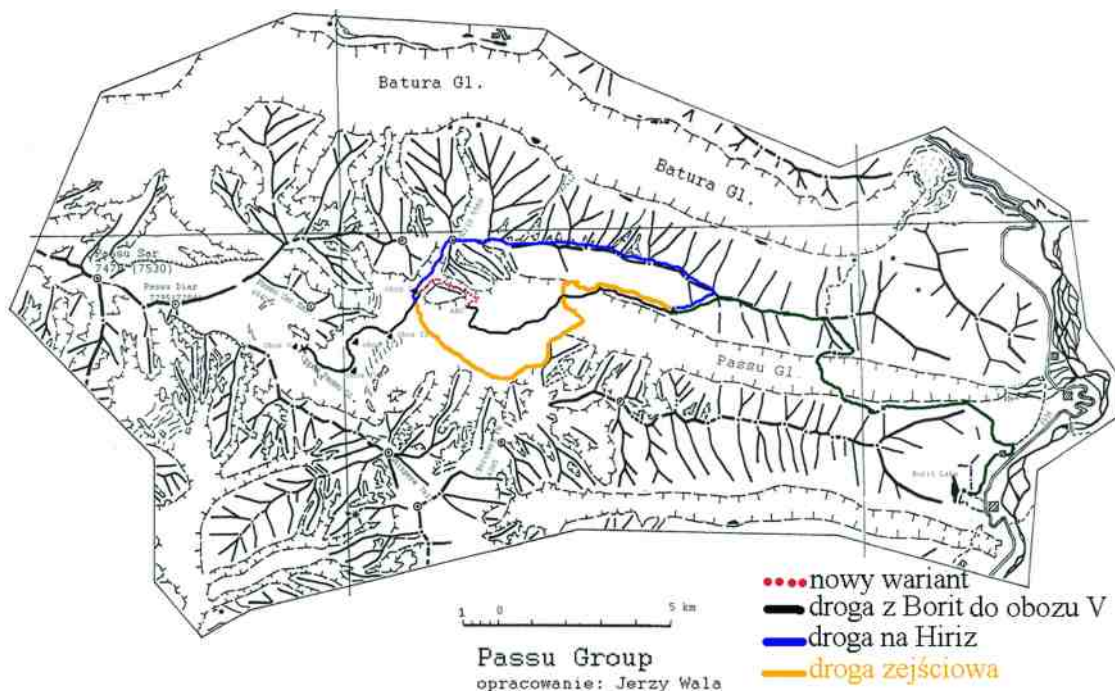
Robert Szymczak podczas podejścia pod Passu Sar. W tle widać Shispare (7611 m).

było znalezienie drogi do obozu I, omijając lodospad Passu, został zrealizowany. 7 lipca, w składzie Tomasz Wawrzyniak, Tomasz Słodnik i Robert Szymczak, zdobyliśmy jako pierwsi Polacy szczyt Hiriz 5550 m, stanowiący kontynuację oddalonej części południowo-wschodniej flanki szczytu Darmyani, oraz założyliśmy obóz I (5040 m). Realizacja drugiego celu rekonesansu, którym była próba znalezienia przejścia lodospadu Passu z obozu I do ABC okazała się bardzo trudna. Po dniu nierównej walki z ogromnym zawaliskiem lodu poprowadziliśmy drogę zejściową północno-zachodnim ograniczeniem lodospadu tuż pod północną ścianą Shispare (7611 m, pierwsze wejście – wyprawa Janusza Kurczaba 1974). Szczęśliwie dotarliśmy do bazy. Z powodu trudności, jakie odnaleźliśmy podczas rekonesansu południowo-wschodniego i północno-zachodniego ograniczenia lodowca Passu bezpieczna droga z ABC do obozu I wciąż była niewiadomą.

W bazie spotkaliśmy wyprawę z Francji, która też miała zamiar wejść na Passu Sar. Koledzy z Francji nie wykazywali chęci współpracy. Ostatecznie po tygodniu walki

z lodospadem zrezygnowali z wejścia i opuścili bazę. Po odpoczynku, 11 lipca w czwórkę wyruszyliśmy do ABC. 12 lipca podjeliśmy kolejną, trzecią próbę ominięcia lodospadu Passu. Po dwunastu godzinach wspinania pokonaliśmy 600 metrową drogę prowadzącą do zachodniej grani schodzącej z Hiriz i dotarliśmy się do obozu I (5040 m).

Drogę nazwaliśmy Polish Bypass. Pozostało niecałe 2500 m do szczytu, ale góra wciąż się broniła. Przez 3 dni, od 13 do 15 lipca trwało załamanie pogody i silny opad śniegu oraz znacznie ograniczona widoczność nie pozwoliły nam wyjść na lodowiec. 16, 17 i 18 lipca – to dni o tym samym scenariuszu – 10-godzinne torowanie po żywym lodowcu po kolana w śniegu przy ograniczonej momentami do kilku metrów widoczności. Każdy dzień to tylko 300 m różnicy wysokości wydartych górze. 8 lipca dotarliśmy do wysokości 6040 m, która stanowiła górną granicę silnie pokrytego szczelinami terenu. Niestety, nadzieja na zmianę pogody umarła a wiara w zmianę warunków śniegowych okazała się płonna. Kontynuowanie akcji oznaczało minimum 5 dni torowania do szczytu i około 5 dni zejścia przez zasypany



lodowiec. 19 lipca podjęliśmy trudną decyzję o powrocie do bazy. Droga powrotna zajęła nam 3 dni, dzięki traserom udało się odnaleźć fragmenty drogi wejściowej lecz większość zejścia to była kolejna eksploracja z powodu zmian, jakie nastąpiły poprzez ruch lodowca i opad śniegu.

24 lipca wyruszyliśmy z bazy do Borit Lake, skąd Karakorum Highway dostaliśmy się do Islamabadu.

## Podsumowanie wyprawy:

### Cel sportowy:

07.07.2006 – pierwsze polskie wejście na Hiriz (5550 m) południowo-wschodnią granią: Robert Szymczak, Tomasz Wawrzyniak, Tomasz Słodnik;

12.07.2006 – nowy wariant omijający lodospad 600 m IV, 60-70 łód stopni, „Polish Bypass”: Piotr Pawlus, Robert Szymczak, Tomasz Wawrzyniak, Tomasz Słodnik;

19.07.2006 - 6100 m – osiągnięta wysokość podczas ataku na Passu Sar (7478 m);

Zebranie bogatego materiału fotograficznego i filmowego rejonu lodowca Passu.

### Cel naukowy:

Zebranie danych na temat reakcji organizmów członków wyprawy na naturalne oraz symulowane warunki wysokogórskie: badania wydolnościowe, badania fizjologiczne, badania neuropsychologiczne, badania snu.

### Podziękowania:

Organizator wyprawy: Klub Wysokogórski Kraków;

### Wsparcie finansowe:

Polski Związek Alpinizmu, Prezydent Miasta Olsztyn Czesław Jerzy Małkowski;

### Wsparcie sprzętowe:

HiMountain, Marmot, Klejtech, LowePro, Pajak, E-Pamir, AxMediTec, Travel-lunch;

### Zabezpieczenie medyczne:

MedEverest, Dentelite

Panu Jurkowi Wali, za wiele godzin dyskusji na temat topografii Karakorum Zachodniego oraz mapy, które pozwoliły nam działać w rejonie lodowca Passu.

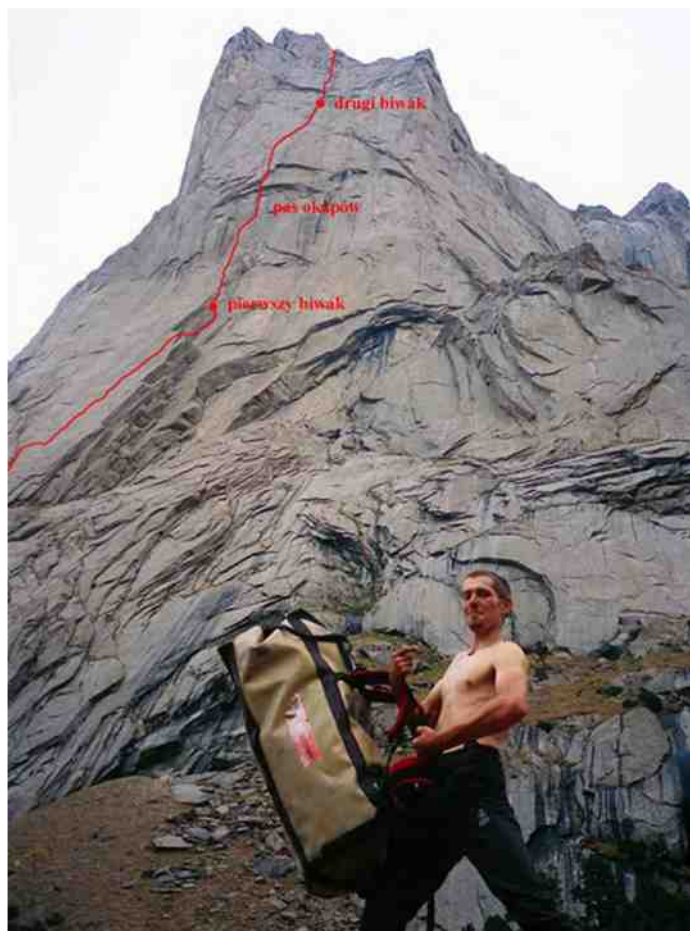
Wszystkim, którzy w jakikolwiek sposób przyczynili się do realizacji naszego wyjazdu, tym, którzy duchem byli z nami, szczególnie naszym rodzicom, dla których każdy nasz wyjazd jest eksploracją ich własnych uczuć.

## Łodzianie w Kirgistanie

### Adam Pustelnik

Przez trzy pierwsze tygodnie sierpnia w dolinie Ak Su (rejon Karawszin, Kirgizja) działała wyprawa Akademickiego Klubu Górskiego w Łodzi w składzie: Sławek Cyndecki, Paweł Grenda, Bartek Malinowski, Adam Pustelnik, Paweł Pustelnik, Marcin Szymelfenig. Oto krótka relacja z wyjazdu.

Z Polski wyruszyliśmy 26 lipca. Po trwającej tydzień podróży wiodącej przez Istanbuł, Biszkek, Osz i Batken znaleźliśmy się w Karawszinie, na pograniczu Tadżycko-Kirgiskim. „Getting to Karavshin is more of an adventure than climbing there itself” – piszą autorzy mini-przewodnika po Kirgizji wydane go przez American Alpine Club i jest to również wierny opis naszych doświadczeń. Ilość perturbacji związanych z uzyskiwaniem kolejnych stempli na naszym „permicie”, rozmów z różnej maści „kamandirami”, zmieniających się wciąż wersji tego czy potrzebne są nam wizy tadżyckie i innych przeszkód natury biurokratyczno-korupcyjno-formalnych była dość przytłaczająca. Już w dolinie miało okazać się, że koniec końców mieliśmy sporo szczęścia i byliśmy jedyną ekipą, której udało się dojechać w Karawszin najkrótszą trasą przez Woruch (enklawa tadżycka)... Przez cały czas pobytu byliśmy jedyną wyprawą w dolinie Ak Su (inne, w tym jedna bratnia działały w sąsiedniej dolinie Kara Su). Na miejscu zastaliśmy wielkie, piękne ściany (niestety niekiedy kruche i znacznie lepiej prezentujące się z daleka niż z bliska) oraz pancerną pogodę – było ciepło i sucho jak pieprz. Oprócz wspinaczek o charakterze rozgrzewkowym na istniejących drogach do 500 m i jednej gościnnej wycie w dolinie Kara Su (zrobiona *Diagonalka* VII-, 500 m na Żółtej Ścianie) udało się nam zrealizować dwie większe wspinaczki:

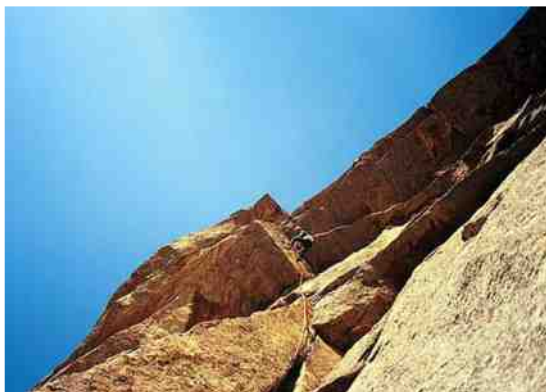


*Amba* - nowa droga na zachodniej ścianie Ortotubka i Adam Pustelnik.

Fot. P. Pustelnik

*Amba* – nowa droga/odhaczenie na ścianie zachodniej Ortotubka (znany również jako Central Pyramid lub Pik 3850) – trudności VI, 7c/c+, 1100 m, RP – Adam i Paweł Pustelnik, 1 dzień poręczowania, 2,5 dnia w ścianie, 1,5 dnia w zejściu.

Większa część drogi rozwiązuje nowy teren, jednak linia przecina się i na co najmniej jednym wyciągu pokrywa z bliżej niezidentyfikowaną (nie wspomina nic o niej np. monografia rejonu autorstwa J. Koszelenki z Desnivela) hakówką (stare nity i dwa spity stanowiskowe w paśmie okapów). Na drodze wbiliśmy jeden spit stanowiskowy, na kluczo-



Adaś na 9 wyciągu Amby. Fot. P. Pustelnik

wym wyciągu w okapach (7c/c+) za asekurację posłużyły 3 stare nity, cała reszta działalności odbyła się na własnej asekuracji. Spora część wspinania to nietrudna klasyka (6a/6b), jest też kilka wyciągów o trudnościach 6c – 7a+, które wymagają trikowej asekuracji i sporych runoutów. Droga wiedzie w ładnej, litej skale. Zejście na stronę północną zajęło nam półtora dnia. „Zewspinaliśmy” się ok. 200 m, potem powiązawszy wszystkie sznurki;) wykonaliśmy pięć stumetrowych zjazdów wzdłuż stromego żlebu. Na zjazdach wbiliśmy 3 spity.

Pierestrojka Crack – Pik Sliezowa (lub Russian Tower) (4250 m) – VI, 7b, 1000 m, OS – Sławek Cyndecki, Adam i Paweł Pustelnik – wspinanie i zjazdy droga 2 dni.

Idealnie wpasowaliśmy się w okienko pogodowe i pokonaliśmy drogę w najgorszych warunkach. Zimno, silny wiatr, przelotny deszcz, proszący śnieg i ... zapchany palnik złożyły się na niezłą przygodę, w ramach której trudności techniczne nie grały roli najważniejszej. Na nasze szczęście prawdopodobnie droga przebyta została niedawno przez jakiś zespół w stylu big-wallowym czego efektem były pozostawione stanowiska nadające się do zjazdów, co oszczędziło nam skomplikowanego zejścia (zajmuje ponoć 2 dni). Droga jest piękna, prowadzi ewidentnymi formacjami (rysy, zacięcia, komino-rysy) w litej skale – zdecydowanie polecamy!

Ponadto zespół w składzie Sławek Cyndecki, Paweł Grenda i Marcin Szymelfenig podjął próbę wytyczenia nowej drogi na (nieznanej nam z nazwy) turni (ok. 4300 m) w pd.-wsch. grani Piku 4810. Po przekroczeniu rwącej rzeki i urobieniu 22 wyciągów wśród latających telewizorów (przecięta lina, stopa obita kamieniem itd.), wyżej wymienieni zwątpili w sens prowadzonej wspinaczki i wycofali się.

Organizatorem wyprawy był Akademicki Klub Górski w Łodzi, wspierał nas Polski Związek Alpinizmu. Wyprawę sponsorowały firmy: ATEST i Protekt. W sprzęt wyposażyli nas firmy: HiMountain, Lhotse, Beal, Montano. Wszystkimi wymienionymi składamy wielkie podziękowania!

## Wyprawa do doliny Kara-Su 2006

### Jerzy Stefański i Łukasz Depta

W końcu lipca tego roku, w składzie Jan Kuczera, Artur Magiera i Jerzy Stefański (wszyscy KW Katowice), wybraliśmy się w góry Pamiro-Ałaj, położone w zachodniej Kirgizji. Naszym celem było poprowadzenie nowej drogi w dolinie Kara Su oraz powtórzenie drogi Rusajewa na zachodniej ścianie Piku 4810, o rosyjskiej wycenie 6A.

Pokonując początkowo niewielkie problemy „papierkowe”, a także trudności terenowe ze stolicy Kirgizji Biszkeku docieramy po dwudniowej przejażdżce samochodem do wioski Rozgorysz, z której dalej ruszamy karawaną w góry. Nie wyleczona jeszcze w Polsce choroba u Artura sprawia, iż zostaje on

na parę dni w wiosce by wyzdrowieć i nabrać sił do dalszej drogi.

Natomiast my wspólnie z Łukaszem Deptą i Wojtkiem Kozubem, którzy stanowią drugi zespół ruszamy następnego dnia do bazy. Na nasze nieszczęście obóz w dolinie oddalony jest od tego miejsca o 4 dni drogi, a nie jak nas wcześniej zapewniali miejscowi około 1,5 dnia (...ot, miejscowe poczucie humoru). Pogoda w tym czasie jest dla nas uciążliwa, cały czas bezlitośnie świeci słońce, co nie ułatwia naszej wycieczki.

Po późniejszym niż zakładaliśmy dotarciu do obozu i dwudniowym odpoczynku postanawiamy z Jasiem rozgrać się robiąc



W zachodniej ścianie Kotiny.

Fot. A. Magiera

drogę *Diagonalna VII* - na Żółtej Ścianie. Był to miły dzień, podczas którego zdążyliśmy jeszcze po skończeniu drogi wprosić się na tradycyjny, obfity obiad do zaprzyjaźnionego pastera Japara.

Za kolejny cel wybieramy drogę Timofiejewa na zachodniej ścianie Piku Asan. Na schemacie, jaki posiadamy, jej wycena opiewa na rosyjskie 6B, później okazuje się, że jest to już 6A. W ścianę poszliśmy „na lekko”, co znacznie przyspieszyło naszą wspinaczkę (od teraz ten styl kojarzyć mi się będzie ze znanym wszystkim hasłem reklamowym: głodny? na co czekasz s...

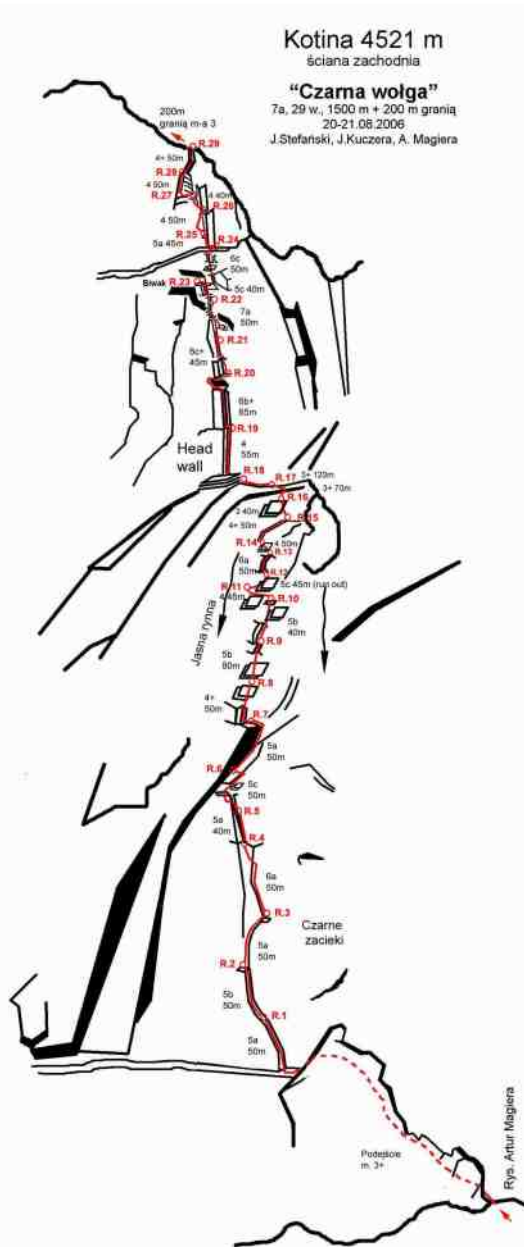
Wspinanie zajęło nam 2,5 dnia plus 6 godz. zjazdów. Była to jedna z trudniejszych dróg, jakie udało mi się do tej pory zrobić. Napotkaliśmy tam wymagający teren hakowy prowadzący przez gładkie płyty, jak i trudne klasyczne pasaże przechodzące przez rysy i zacięcia.

Górna część prowadzi przez dosyć kruchy i mokry teren, o czym mieliśmy się okazję przekonać, zrzucając w trakcie wspinania naprawdę dużych rozmiarów bloki. Cała ta przygoda zakończyła się pomyślnie i jeszcze tego samego wieczoru w obozie jedliśmy przepyszną chińską zupę.

Teraz czekał nas dłuższy odpoczynek, który wykorzystaliśmy na leczenie drobnych kontuzji, nabytych podczas wspinania na Asanie.

W tym czasie w bazie pojawił się Artur i teraz już w pełnym składzie ruszyliśmy na zachodnią ścianę Kotiny 4532 m, by spróbować poprowadzić tam nową drogę. Ściana ta oferuje około 1000 m wspinania po płożych płytach podchodzących pod 500-metrową ścianę szczytową. Dolna partia drogi to szybkie wspinanie w trudnościach do 6a. Na wspomnianej ścianie szczytowej natrafiamy na trudniejszy teren, który wymaga pokonania trudności dochodzących do 7a. Droga biegnie litym terenem w pięknym granicie sprawiając, że wspinanie jest bardzo estetyczne i przyjemne.

Powrót z wierzchołka Kotiny okazał się skomplikowany, kosztował nas trochę wysiłku i zajął nieco czasu. Zmuszeni byliśmy zejść na drugą stronę grani do sąsiedniej doliny Ak Su, co wiązało się z dłuższym spacerem, który jeszcze trzeba było odbyć tej nocy, aby wrócić do ciepłych śpiworów pozostawionych w namiocie. Całość zajęła nam 1,5 dnia wspinania i około 8 godz. wymagającego zejścia.



Od momentu pojawienia się w dolinie spoglądaliśmy w jednym kierunku, była to zachodnia ściana Piku 4810 m.

Podbudka, herbata, pakujemy się i podchodzimy pod nasz cel, by zmniejszyć wagę szpeju zabieramy ze sobą tylko jedną dziabę plus raki paskowe. Okazuje się to dla nas zgubne, ponieważ tego lata lodowiec stopniał tak bardzo, że utworzył się na podejściu pod ścianę około 15-metrowy próg lodowy. Po nieuda-

nych próbach sforsowania tej przeszkody zmuszeni jesteśmy się wycofać, nie docierając nawet pod początek drogi.

Mocno zdeprimowani tym faktem następnego dnia decydujemy, że zanim wrócimy lepiej przygotowani sprzętowo pod ten próg, spróbujemy powtórzyć nową klasyczną drogę (warianty) *Australijską* na Asanie.

Tutaj w odróżnieniu od wcześniejszych wspinaczek idziemy na „ciężko”. W ścianę weszliśmy razem z Łukaszem Deptą i Wojtkiem Kozubem, którzy wspólnie w tym czasie działali z nami w dolinie.

Pierwsza noc spędzona w ścianie zakończyła nas dość krótką, ale intensywną burzą. Rano będąc przemoczeni i nieco wychłodzeni bliscy byliśmy rezygnacji. Jednak pojawienie się pierwszych promieni słońca, które dotarły do nas około godz. 13, skutecznie osuszyły te mokre myśli i w tym dniu dochodzimy jeszcze do następnych półek biwakowych.

Kolejny dzień jest pochmurny i zimny, a przed nami kluczowe trudności drogi. Wspinanie ze względu na temperaturę idzie nam bardzo wolno, dodatkowo okazuje się, że mamy za mało wody by ukończyć drogę. Przyszedł czas na odwrót, co nigdy nie jest przyjemne tym bardziej, że pamiętamy jeszcze o ostatniej nieudanej próbie.

W dolinie w tym czasie zrobiło się już naprawdę chłodno i wietrznie, co sprawia, że poczucie zimna jest jeszcze większe. Z tego też powodu rezygnujemy z powrotu pod ścianę Piku 4810. W zamian chcemy spróbować przejść klasycznie headwalla Żółtej Ściany, przy okazji prostując jej dolną część.

Po pokonaniu 7 wyciągów prostujących dolną część ściany dochodzimy do naszego głównego problemu. Powyżej udaje nam się „z powietrznymi przygodami” poprowadzić jeszcze jeden wyciąg, ale dalej natrafiamy na teren bez możliwości przejścia klasycznego. Opcja haczenia następnych wyciągów oraz lodowaty wiatr skutecznie osłabia naszą ochotę do dalszego wspinania. Zjeżdżamy ze ściany postanawiając, że będzie to już koniec naszej działalności w dolinie Kara Su. Ostatnie dni w Kirgizji spędzamy nad jeziorem Issyk-Kul pływając i zażywając kąpieli słonecznych, zarówno mocno się przy tym wszystkim nudząc, jak i bawiąc.

Uczestnicy pragną podziękować PZA za objęcie wyprawy patronatem i dofinansowa-

nie, Janowi Kuczerze, firmie MARMOT za udzielone wsparcie dziękuje Jerzy Stefański (Marmot Team).

Za otrzymanym dodatkowym sprzętem wspinaczkowym podziękowania dla firmy LHOTSE.

Dodatkowo wielkie dzięki dla wszystkich pozostałych osób, które pomogły w organizacji wyprawy.

Jerzy Stefański

•••

W tym samym okresie, co wyprawa śląska, w dolinie Kara Su działał zespół wspinaczy krakowskich Łukasz Depta i Wojciech Kozub.

Dolina oferuje wspinanie na ścianach o wysokości od 400 do 1200 m w granitowej skale, przeważnie dobrej jakości. Pomimo tego, że najbardziej popularne zachodnie ściany szczytów Pik 4810, Asan, Usen, oraz wystawiona ku wschodowi Żółta Ściana pokryte są gęstą siecią dróg, rejon przedstawia jeszcze spore możliwości prowadzenia nowych linii.

Tak samo jak przy naszych wcześniejszych wyprawach na wschód podróż na warunkach azjatyckich, pomimo całego naszego ciągu w góry przedłużyła się w stosunku do wcześniejszych założeń. Poczucie czasu tutaj, zupełnie inne od naszego europejskiego często powoduje rozgoryczenie u przybyszów z zachodu. Jako wizytujący już trzeci raz państewko Kirgistan, dojazdową część wyprawy, czyli spotkania z żądnymi „podarków” przedstawicielami władz, oraz wieczne pertraktacje z właścicielami środków transportu, tym razem mogliśmy odbyć zupełnie wyluzowani. Nabici w butelkę pewnie o kilka razy za dużo, na koniec jeszcze po czterniodniowym, też niezbyt planowanym „miłym” trekkingu z worami, 9 sierpnia zakładamy bazę na polance w dolinie Kara Su.

Przeprowadzony nazajutrz po dniu rehabilitacji, nareszcie „na lekko”, mały rekonesans potwierdza, że jak najbardziej trafnie wybraliśmy miejsce na wakacyjną przygodę. „Czuje, że tu się nieźle powspinamy” – to słowa Jurasa. Monolityczne, kilometrowych wysokości turnie na razie trochę przytłaczają, więc w celach zapoznania ze specyfiką rejonu na rozgrzewkę wybieramy się z Wojtkiem na 400-metrową turnię w masywie Asana. Wspinanie na „Sabace Asana” (nazwa ma szansę się przyjąć), własnymi wariantami, estetycznie nas nie zachwyciło. Sporo porostów i kruzyzny oraz zjazdy ze starego żelastwa w trak-



Początek drogi Timofiejewa. Fot. A. Magiera

cie schodzenia ze skał, piękny widokowo wierzchołek, pozwoliły nam wczuć się w nastrój wspinania w górach.

Trzy dni później w ramach dalszego rozspinania Wojtek z Ołówkiem pokonują skośną rysę – *Diagonalnaja*, biegnącą pięćsetmetrową Żółtą Ścianą.

Wykorzystując w dalszym ciągu sprzyjającą pogodę, w następnej kolejności podejmujemy się z Wojtkiem próby poprowadzenia własnej linii. Celem naszym staje się nienazwana turnia w masywie Piku Kara Su. Według naszych informacji na jej 700-metrowej wschodniej ścianie nie poprowadzono jak dotąd żadnej drogi.

Wspinaczka systemem zacięć i kominów przecinających środkową połąć ściany, w litej skale i pięknymi formacjami, zajmuje nam jeden dzień. Powstała droga ma 17 wyciągów, a maksymalne napotkane trudności wyceniliśmy na VI+. Po kolejnych 150 metrach terenu II – IV, już w ciemnościach osiągamy wierzchołek. Po mroźnym biwaku tuż pod wierzchołkiem następnego dnia z „poszumem siklaw” docieramy bezpiecznie w dolinę.

Pomimo coraz bardziej jesiennej aury,



Widok na zachodnie ściany Asana i Piku 4810 z drogi na szczyt 5010 m. Fot. Łukasz Depta

po kilku dniach odpoczynku, jako kolejny cel obieramy sobie 1000-metrową zachodnią ścianę Asana.

Droga Alperina, biegnąca prawym jej filarem, jest jak dotąd jedną z niewielu linii na tej ścianie, posiadających przejścia klasyczne. Dolne partie filara pokonujemy *Wariantem Amerykańskim* biegnącym 150 m długości przerysą. Napotkane na drodze trudności osiągnęły stopień VIII-. Po biwaku, podczas którego jesień objawiła nam się w postaci deszczu ze śniegiem, kolejnego dnia, po jeszcze 10 długościach liny jak najbardziej wspinaczkowego terenu, w godzinach południowych osiągamy wierzchołek.

Ostatnim akcentem wspinaczkowym wyjazdu dla naszego zespołu jest wspólna akcja z chłopakami ze Śląska na drodze australijskiej zachodnią ścianą Asana. Po 2,5 dnia wspinaczki i oczekiwania na wyjście słońca mogącego wysuszyć nasze przemoczone przez deszcz rzeczy, po pokonaniu 10 pięknych wyciągów,

jesteśmy zmuszeni do odwrotu w dolinę.

Gdy chłopaki podejmują jeszcze ostatnią próbę na Żółtej Ścianie, korzystając z ładnego dnia wybieramy się na wycieczkę na pięciotysięczny wierzchołek w masywie Piku Kara Su. Po pokonaniu ponad 2 km różnicy wysokości, wspinacze w skale o konsystencji chałwy i kilku bezskutecznych próbach przytwierdzenia do butów raków paskowych Ołówka, możemy obejrzeć sobie niesamowitą panoramę Pamiro-Ałaju. Wygląda na to, że góry te kryją w sobie jeszcze spore eksploracyjne możliwości.

Szóstego września opuszczamy dolinę Kara Su i udajemy się na wakacje od wspinaczkowych wakacji.

Łukasz Depta i Wojciech Kozub - członkowie KW Kraków, KS Korona Kraków oraz Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego dziękują za wsparcie finansowe i medialne Polskiemu Związkowi Alpinizmu. W potrzebny sprzęt pomogły zaopatrzyć się firmy: Polar Sport, Pathways Outdoor i Penetron.



Wsch. ściana nienazwanej turni w masywie Piku Kara Su z przebiegiem drogi Oposit to Asan. Fot. Łukasz Depta

## Kaukaz 2006

Paweł Karczmarczyk

Po raz kolejny jakaś magnetyczna siła ścagnęła mnie w „małe Himalaje” jak zwykle nazywać się góry Kaukazu. Dobry znajomy Pudzian, który po wyniku 50/12 (czyli stosunek długości lotu do czasu spędzonego w szczelinie) w Adyl-Su dwa lata temu, zwykł mawiać, że „Duch Gór – wzywa”. Naprawdę niewiele brakowało, a drugi z rzędu sezon kaukaski przepadłby w pogoni za kasą i stabilizacją.

Częściowo skorzystałem z tego, że jest już zorganizowana ekipa w dolinę Bezingi na wyprawę w tym roku. O kompanów zawsze było najtrudniej. Przedzwoniłem do Żeni z Gdańska, który wsparł mnie dobrym słowem „climb now, work later”, co tylko umocniło mnie w mojej decyzji. Dowiedziałem się, że gdańszczanie zabierają się w piątkę, zatem mogliśmy stworzyć dwie wspinaczkowe trójki.

Szybka decyzja sprawiła, że musiałem zadowolić się 30-dniową wiza turystyczną. Początkowo męczyła mnie ta sytuacja, znając realia rządzące w tych górach, tj. potrzeba dobrej „klimy”, długie podejścia i ściany, przeczekiwanie nieporogody. Wszystko to czyni

każde wyjście małą ekspedycją. Dodatkowo tydzień odpada na dojazd.

Nie nastawiałem się na wiele.

Pomyślałem, że sama obecność w tych górach będzie swojego rodzaju spełnieniem. To, co uda się zrobić w tym krótkim okresie, to sprawa drugorzędna. Zagadką przecież był sam nasz zespół – to kolejni w moim życiu nowi partnerzy. Co prawda z Żenią poznaliśmy się właśnie w Bezingi trzy lata temu i miał już za sobą dwa sezony, ale nigdy razem nie związaliśmy się liną. Rekin doświadczył tych gór dopiero na jednym wyjeździe, ale coś powodowało, że chciał być tam znowu. Wyjazd okazał się „gruby” i chyba były to najintensywniejsze trzy tygodnie spędzone do tej pory na Kaukazie.

Od początku upływający czas przypominał cykający w głowie zegar, zatem po wymianie pozdrowień i gorącym przywitaniu

w bazie, szybko zabrał się do pracy. Za pierwszy cel obraliśmy Pik Panoramyj 4176 m (2B), jak sama nazwa wskazywała, z wyśmienitą panoramą na mur „Północnego Masywu” ograniczający lodowiec Miżirgi od północy.

Już na samym biwaku wyjściowym „krumkol-skich naczio-wkach” 3200 m, na pierwszym „piętrze” lodowca Miżirgi, widok kompletnie nas oczarował. Biwakowaliśmy na wprost ścian Krumkoła



Kosztan Tau (5150 m) z pn.-zach. żebrzem, którym przebiega droga Kaliszewskiego 5B.

Fot. P. Karczmarczyk



Miejsce pierwszego biwaku na pn.-zach. żebrze Kosztan Tau. Grzesiek przygotowuje platformę. Fot. P. Karczmarczyk

4676 m i masywu Miżirgi 5025 m (wsch.) i 4927 m (zach.), gdzie poprowadzone były imponujące linie wspinaczkowe. Droga to, wyprowadzający na zachodnią grań, ok. 1500-metrowy śnieżny kuluar, którego nachylenie do 40 stopni nie stanowiło większych trudności technicznych. Mimo to idąc nim wydawało się, że nie ma on końca. Podczas całej wspinaczki towarzyszyła nam prawdziwa lampka.

Nasz trud został wynagrodzony niezapomnianym widokiem ze szczytu na „Północny Masyw” od wierzchołka Kosztan-Tau 5150 m do masywu Dych-Tau 5204 m (gł.) i 5180 m (wsch.). Choć grań jest krótsza od Muru Bezingijskiego, to technicznie o wiele trudniejsza (wielki szacunek dla Abalakowa, który w 1938 r. zrobił trawers masywu ze wschodu na zachód, a w 1949 r. – w drugą stronę!).

Trudno było nasycić się tym obrazem, ale rozmiękający śnieg w kuluarze nakazywał zbierać zabawki i walić w dół. Po południu byliśmy znów na „3200”, a następnego dnia na pierwszym reście w bazie.

Z wieczora bar wypełnili wspinacze z różnych stron Rosji, a także spora w tym roku ilość obcokrajowców: Litwinów, Czechów, Austriaków, Niemców, Norwegów

i oczywiście dobrze mi znana ekipa miejscowa. Integracja była mocna.

Dalsze plany naszych dwóch ekip różniły się od siebie. My ruszyliśmy kontynuować aklimatyzację na wierzchołkach o tajemniczej nazwie Dumala 4540 m, drogą 3B. Drugi zespół (Artur, Piotrek i Wujek) za cel obrał leżący w Murze Bezingijskim szczyt Gestoła 4860 m, drogą przez wierzchołek Bezimienny 4310 m (4A). Obie drogi, prócz

wierzchołków na dużych wysokościach, oferowały wysoko położony biwak.

Po pierwszym dniu wspinania znaleźliśmy się „po płanie” na pośrednim biwaku. Tutaj zaskoczyło nas załamanie pogody, co zmusiło do pozostania w namiotach przez dwa dni. Kolejnej nocy wypatrzyliśmy niewielkie okno pogodowe, które bez wahania postanowiliśmy wykorzystać. Na wierzchołku Dumala stanęliśmy o świcie w sypiących kulcach styropianu i otoczeni ciemnymi chmurami. Po zejściu z wierzchołka zwinęliśmy obóz i postanowiliśmy ruszać na dół. W pełni gotowi długo jeszcze sterczeliśmy na progu przełęczy wyczekując jakiegokolwiek przejaśnienia w gęstej mlecznej mgle, by zlokalizować drogę powrotu. Na stromym lodowym stoku rozmiękający śnieg kompletnie nie trzymał. Kolejne połamie czystego lodu i lawiniska w dole przypominały nam o zagrożeniu. Była dopiero 9 rano, a warunki śnieżne – już fatalne. W lekkim stresie, ale z rzetelną asekuracją, zesliśmy na lodowiec. Odetchnęliśmy z ulgą. Spakowaliśmy graty i ruszyliśmy w dalszą drogę, która swój cel miała w bazowym barze.

Następnego dnia schodzi ekipa z Gestoły. Po zrobieniu drogi na Bezimienny

# Wielkie ściany



śmy się z opisem drogi i odbyliśmy konsultacje z J. S. Saratowem, naczelnikiem KSP (Kontrolno Spasatielskij Punkt).

Podejście na najwyższej położoną w dolinie morenę „3900” rozłożyliśmy na dwa dni. To III piętro lodowca Miżirgi, oddzielone od każdego z poprzednich dużymi uskokami, w miejscach których lodowiec jest silnie rozrwany. Przebieg podejścia zmienia się średnio raz na

Kosztan Tau, droga Kaliszewskiego. Na zdjęciu Losza i Siergiej – przyszli medaliści mistrzostw Rosji w alpinizmie.

Fot. P. Karczmarczyk

4310 m (choć w rzeczywistości wierzchołek ten ma kilka nazw) i dwóch biwakach w nieopodgodzie, zdecydowali wycofać się z „mułdy”, nie wchodząc tym samym na Gestołę. W zejściu stanęli jeszcze na szczycie Lialwiera 4350 m. Wiem sam, że załamania pogody w otoczeniu Muru Bezingijskiego są najbardziej odczuwalne, a sama „mułda” pod Gestołą bywa najniebezpieczniejsza podczas burzy.

Wieczorem rozpoczęło się wielkie smażenie placków ziemniaczanych, dobrze zakrapiane rosyjską wódką pitą w kaukaskim stylu, czyli z dużą ilością toastów. Impreza potoczyła się do rana i skutki jej dało odczuć się następnego dnia.

Kolejne wyjście zbiegło się z właśnie rozpoczętymi mistrzostwami Rosji w alpinizmie. Frekwencja tym razem nie dopisała. Samych działaczy z Federacji Rosyjskiego Alpinizmu zjechało się więcej niż zgłoszonych uczestników. Długo zastanawiałem się nad celem naszej kolejnej wspinaczki. Wciąż nie byłem pewien, na ile jesteśmy gotowi, jako zespół, na trudną drogę. Aklimatyzacja pozwalała nam już na wybór któregoś z pięciotysięczników. Decyzja padła na drogę Kaliszewskiego 5B na Kosztan-Tau. Uzupełniliśmy arsenał sprzętu i zapasy żywności, zapoznali-

tydzień. Bywają sezony, że przejścia praktycznie nie ma. To droga wspinaczkowa sama w sobie.

Na „3900” docieramy drugiego dnia wczesnym popołudniem. Mamy wiele czasu, żeby dobrze przyjrzeć się drodze. Na morenie spotkałem też starych znajomych z Kalinin-



Autor w kluczowych fragmentach drogi Kaliszewskiego. Arch. P. Karczmarczyk



Kaczmar, Żenia i Rekin na wierzchołku Kosztan Tau.

gradu – Dimę i Andrieja. W planach mieli Krumkoła klasykiem za 4B. Pod wieczór podeszła jeszcze dwójka znajomych. To Losza, uczestnik Everest Central North Wall Exp. i Siergiej, miejscowy ratownik MCzS. Zespół startujący w mistrzostwach. Nasze plany zbiegły się niepokojąco. Wystartują za nami z kilkugodzinnym opóźnieniem. Początkowo nie byliśmy tym zachwyceni, ale w końcu idziemy pierwsi, i jak się później okazało, nie przeszkadzaliśmy sobie zbyt.

Wystartowaliśmy w nocy, co nie było może najlepszą decyzją. Kuluar wejściowy okazał się niezbyt łatwy do zlokalizowania w marnym świetle czołówek. Szukaliśmy go za nisko, niepewnie wspinając się w górę, w obawie przed pomyłką. Z brzaskiem wszystko się wyjaśniło, co zwiększyło nasze zdecydowanie i tempo. Kuluar, choć nie wyglądał, okazał się długi, a w końcowych partiach poważnie spiętrzone, miejscami z czystym lodem.

Na miejscu pierwszego biwaku stanęliśmy jeszcze przed południem. Nawiązaliśmy przez radio łączność z bazą i zabraliśmy się do dalszej roboty, podchodząc pod kluczowy fragment drogi, którego już tego dnia nie zobaczyliśmy. Nadciągnęły gęste chmury, sygnal śnieg. Przeczekaliśmy dobrą godzinę w nadziei, że może coś się wyjaśni, ale nie było żad-

nych zmian. Zdecydowaliśmy, że postawimy biwak, a gdyby pogoda się zmieniła w drugiej połowie dnia, spróbujemy coś jeszcze zaproponować. Przygotowana platforma na skalnej półce okazała się zbyt mała na nasz namiot i nie było mowy o godziwej egzystencji na niej dla trzech osób. Szybko wypatrzyliśmy rokującą, małą, śnieżną grańkę, gdzie przy po-

Arch. P. Karczmarczyk pomocy łopaty przygotowaliśmy naprawdę komfortową platformę. W tym czasie podeszli Losza z Siergiejem. Dogadaliśmy plany i zalegliśmy w ciepłych śpiworach. Tego dnia na nic więcej się nie zdobyliśmy.

Następnego dnia pułap chmur podniósł się nieco odsłaniając kluczową ściankę. Zwinęliśmy biwak i jako pierwsi zmierzaliśmy w jej kierunku. Ustaliliśmy, że powiesimy poręczówki. Ścianka okazała się w całości wylana cienką warstwą lodu – zbyt cienką, aby móc wkręcić gdziekolwiek śrubę i zbyt kruchą, aby swobodnie osadzać w niej dziabki. Nie wszystkie jednak szczeliny zalane były lodem, zatem asekuracja i podklinowywanie „narzędzi” wchodziły w grę. Na przejście dwóch 60-metrowych wyciągów zeszły dwie godziny. Przyszli srebrni medaliści sprawnie wymałowali na założonych przez nas poręczówkach. Dalej spiętrzone lodem wyszliśmy w firnowy kuluar, „koryto”, długości 12 wyciągów i po nim na przedwierzchołkowe plateau. To miejsce wydawało się nam najlepsze na biwak. Było już zbyt późno na zejście pn.-wsch. granią 4B po ataku szczytowym. Mogłoby okazać się to zbyt niebezpieczne, gdyż grań wymaga maksymalnego skupienia i czujności, z uwagi na wielkie nawisy. Wierzchołek i zejście zaplanowaliśmy na następny dzień, tymczasem zajęliśmy się przygotowy-

# Wielkie ściany

waniem biwaku na wysokości ok. 5000 m. Chmury zaczęły schodzić w doliny przecierając nam widok na wszystkie rejon Centralnego Kaukazu.

Biwak opuściliśmy o 6 rano, a na wierzchołku byliśmy już po godzinie. Na niebie i w dolinach nie było żadnego obłoku. Widok sięgał na całą grań główną, od Kazbeku 5047 m do Elbrusa 5642 m. To chyba najpiękniejsza panorama, jakiej doświadczyłem na Kaukazie. Po sesji foto i pozostawieniu „zapisów” o naszej obecności na szczycie (zwyczaj nakazuje zdjęcie starej i pozostawienie nowej) ruszyliśmy w dół pn.-wsch. grania, długo jeszcze ciesząc się widokami. Grań, tak jak przewidywaliśmy, pomimo dobrych warunków śnieżnych, okazała się bardzo wymagająca. Na wyjściowy biwak „3900” dotarliśmy po siedmiu godzinach zejścia, o 15-ej posiłek, uzupełnianie płynów i suszenie gratów – to ostatnie obowiązki tego dnia. Na morenie skład taki sam, jak przed wyjściem. Dima z Andriejem pokonali Krumkoła z dwoma noclegami.

Nazajutrz Losza i Siergiej opuścili biwak wcześniej. My, nie nerwowo, po śniadaniu i zwinięciu obozu, ruszyliśmy o 10. Po niespełna 30 minutach od wyjścia, na pierwszym progu, schodzącym na II piętro lodowca Miżirgi, rozpoczął się nasz drugi etap tej wyprawy. Równie ciężki jak sama droga. Kompletnie

nie planowany. Na trawersie ścianki pierwszej szczeliny, idący ostatni na linie Żenia potknął się. Stracił równowagę i zaliczył 15-metrowy lot, wykorzystując do końca linę, która dzieliła go od idącego w środku Rekina. Naważając kontakt głosowy z wydającym w pierwszej chwili tylko niepokojące jęki Grzeskiem, przeniosłem jego ciężar na szybko zmontowane stanowisko z dwóch śrub.

Według pierwszej relacji z dołu ręka i noga Grzeska są osobno. Trudno było to sobie wyobrazić. Kolejnym ruchem było powiadomienie Andrieja i Dimy, którzy najszybciej mogli przyjść nam z pomocą.

Grzesiek tracił momentami przytomność i ulegał wychłodzeniu. Trzeba było działać szybko. Po 30 minutach Kaliningrad był już z nami. Zjechaliśmy z Andriejem do szczeliny i oceniliśmy sytuację jako nieciekawą. W wąskich partiach szczeliny Grzesiek wisiał na linie z głową do dołu i wykręconą lewą ręką.

Pierwsza pomoc potrzebna była od strony psychologicznej. Ból szybko wywołał u Żeni apatię i przekonanie, że już z tego nie wyjdzie. Po aplikacji środków przeciwbólowych i zapewnieniu, że zaraz stąd wychodzimy, zabraliśmy się do działania. Ze wstępnej obdukcji wynikało, że uszkodzeniu uległa miednica i wybity został lewy bark. Przed przywróceniem Grzeska do normalnej pozycji,

uwolniliśmy go od plecaka i usztywniliśmy na kijkach teleskopowych. Cierpiał okrutnie, a przecież był to dopiero początek. Pomimo systemu do wyciągania obsługiwane go przez Dime i Rekina na górze, wspomaganego przez nasze podciagi, z trudem, po upływie 1,5 godziny, wywindowaliśmy go na górę. W tym samym momencie podeszła do nas trójka moskwickan, którzy



Losza i Siergiej na zejściowej, pn.-wsch. grani Kosztan Tau.

Fot. P. Karczmarczyk

bez żadnego zastanowienia włączyli się w akcję.

W wyniku wychłodzenia, mimo już plusowych temperatur, Żenia drżał całym ciałem. Przebraliśmy go w suche, najcieplejsze rzeczy, jakie mieliśmy, położyliśmy w śpiworze – a to było i tak dla niego tylko minimum komfortu ciepłego.

Co dalej? Znajdowaliśmy się w najtrudniejszym miejscu lodowca, wymagającym normalnego wspinania. Na schodzenie z uszkodowanym nie było szans. Ustaliliśmy, że w grę wchodzi tylko opuszczenie „tyrolka”.

Część z nas od razu zabrała się do budowy drogi linowej, a reszta przygotowywała Grzeška do podróży. Do usztywnienia połamanego kumpla użyliśmy kijków, łopaty lawinowej i karimat, a całość „pakunku” związana była liną z wypuszczonymi trzema punktami asekuracyjnymi. Wydawało się, że jesteśmy gotowi. Posadziliśmy go do zjazdu. Trudno było patrzeć jak mdleje z bólu, kiedy nasza konstrukcja zaczęła pracować. Niestety ciężar Żeni mocno obniżył rozpiętą jak struna linę. Po przejechaniu zaledwie 20 metrów

ugrzązł w terenie, który zwykle nazywać się niedostępnym, w pozycji, której nie chciało się oglądać. Dojście do niego wiązało się z poręczowaniem ścianek, kruchych mostów nad wyjątkowo paskudnymi szczelinami, po których normalnie nie ma po co chodzić. Do drugiego piętra Lodowca Mizergi transportowaliśmy Grzeška cały dzień, do samego wieczora. Tam połączyliśmy już siły ze zmontowaną ekipą ratowników z bazy. Rozbiliśmy biwak na „3200”. Grzesiek przeniósł się na noc z noszy do namiotu i dostał dwie dawki środka przeciwbólowego domięśniowo, a mimo to cierpienia nie pozwoliły mu zasnąć ani na chwilę. Następnego dnia, mimo łatwiejszego terenu, i tak do końca trzeba było organizować asekurację, a transport do bazy był długą i ciężką pracą wielu osób.

Helikopter, który przyleciał dopiero kiedy byliśmy już w bazie, przydał się przynajmniej na szybki transport Żeni do szpitala w Nalcziku. Do „balnicy” poleciała też ekipa gdańszczan z drugiego zespołu. Sezon zakończyli wejściem na Dżangi-Tau Wsch. 5038 m, zaliczając swój pierwszy



# Wielkie ściany



Panorama północnego muru masywu. Od lewej Kosztan Tau (5150 m), Pik Tichonowa (4670m), Krumkoł (4676 m). W chmurach Miżirgi Wsch. (4927 m), Miżirgi Zach. (5025 m), Pik Borowikowa (4888 m), Pik Puszkina (5100 m), Dych Tau Wsch. (5180 m), Dych Tau (5204m).

Fot. P. Karczmarczyk

z kaukaskich pięciotysięczników jednym z dolinowych standardów 4B.

Zostałem w bazie z Rekinem. Mnie zostało kilka dni nie wystarczających już na żadne wyjście, zatem wydawało się, że koniec sezonu przychodzi i dla mnie. Rekinowi plany sypnęły się zupełnie. Mieli zamiar działać z Grześkiem w Bezingi jeszcze miesiąc. Czekały go zupełnie inne przygody...

Stres po całej akcji zaczął mijać w barze. Siedzieliśmy z Andriejem i Dimą, sącząc miejscowy browar Terek, pełni wzajemnego uznania po dobrej robocie. Przy drugim piwku dotarła do nas wiadomość o wypadku na Salinan-Baszi 4348 m. Informacja doszła do bazy przez komórkę. W dwójkowym zespole z Kaliningradu, przy zejściu z wierzchołden poleciał na grani. Partner nie mógł do niego zjechać?! Dima z Andriejem poderwali się na równe nogi. To ich dobrzy znajomi. Przed wieczorem z bazy ruszyło osiem osób. Tego dnia nie mieli szans podejść dalej, niż na przełęcz Kell pod ścianę Salinana. Sam dołączyłem do trójki miejscowych ratowników (przyjaciół od lat), z którymi mieliśmy wystartować nazajutrz helikopterem.

Oczekiwanie na helikopter okazało się dłuższe niż zakładaliśmy. Przez radio dowiedzieliśmy się, że pierwsza ekipa dotarła na miejsce wypadku. Człowiek już nie żył. Prawdopodobnie od kilkunastu godzin.

My wylecieliśmy dopiero o godz. 15, spotykając na miejscu startu imprezującą ekipę miejscowych Bałkarców – absurdałe zderzenie światów. Zaopatrzyli nas w kilka litrów wódki (skoro już lecimy w góry...). Wzniesiliśmy się na przełęcz Kell, sprzętem, który budził mieszane uczucia, co do swoich

możliwości. Piloci okazali się jednak zawodowcami. Nabierając wysokości pod Murem Bezingi kilkakrotnie przelecieliśmy przy samych jego ścianach.

Po postawieniu biwaku śledziliśmy przebieg akcji na Salinanie. Niejasne jednak były jej postępy, choć jedno było już pewne, że ekipa nie jest w stanie odtransportować ciała na dół i zaczynają schodzić z kompletnie rozwalonym psychicznie partnerem. Oczekiwaliśmy ekipy do późnej nocy, pomimo, że sami zaplanowaliśmy wyjście na godz. trzecią. Wszyscy wrócili zmęczeni jak po Evereście. Dużo wódki trzeba było, żeby postawić ich na nogi i ustalić szczegóły operacji. Sami zdołali tylko zjechać do zwłok i opakować je w śpiwór i karimatę. To była na pewno ciężka praca. Dużo czasu zajęło im też doprowadzenie do porządku partnera.

Po dwóch godzinach snu ruszyliśmy w stronę śnieżnego kuluaru, wyprowadzającego na pn.-wsch. grań. Do roboty ściągaliśmy też dwóch Litwinów (Saulusa i Paulusa). Nie odmówili nam swojej pomocy ani swoich lin, a tych wydawało nam się wciąż mało. Do miejsca tragedii dotarliśmy już o 10-ej, 150 m pod wierzchołkiem. Grań była bardzo rozruszana. Do wypadku doszło na samym początku zejścia. Zespół rozpoczął go dość późno, prawdopodobnie zmęczony wysokością. To była zbyt wysoka góra, jak na pierwszą w sezonie. 25-letnie doświadczenie alpinistów (obaj ze stopniami Kandydat Mistrza Sportu) tym razem zawiodło.

Z Loszą zjechaliśmy z grani do truposza, by przepakować go na nosze i przygotować do transportu. W górze dwa kruki, zataczając kręgi, rozpoczęły już taniec śmierci.

Okazało się, że nie mogliśmy wyciągnąć go pionowo, w linii prostej. Przeszkadzały w tym nawisające na grani skały. Systemem pólek przenieśliśmy ciało 30 m do miejsca, gdzie dalszy transport był możliwy. Do grani małpowaliśmy równolegle z opakowanym ciałem, przepychając je na przewieszonych ściankach. To był jeden z kluczowych problemów. Zdecydowaliśmy, że ze ścianki pierwszego „żandarma” przejedzie „tyrolka”. Dalej opuszczaliśmy zwłoki już ze stanowisk.

Non stop zrzucaliśmy mnóstwo olbrzymich kamieni. Z przełęczą po kuluarze poszło już łatwiej. Na lodowiec zjechaliśmy popołudniem. Ciało do następnego dnia trzeba było zakopać w „lodowce”.

Po solidnym posiłku i wykończeniu resztek zapasów „spirtu”, usnęliśmy jak dzieci. Następnego dnia poleciliśmy wszyscy, w dwóch rzutach, do bazy.

Tam czekały kolejne, dwie, złe wiadomości. Śmiertelne wypadki na Ułhuauzie 4675 m i Dych-Tau. Tam akcje ratownicze były już mniej skomplikowane i w obu akcjach uczestniczył też helikopter. Pod Ułhuauzem, ratownicy ze szczeliny brzeżnej wyciągnęli trupa po upadku z wierzchołka (kamień przeciął linę). Partnerkę z tego zespołu, z połamaną nogą, helikopter zabrał z moreny „3900”, wyręczając wszystkich z po-

wtórki akcji z Żenią.

Na Dychtale zespół zbyt szybko zdecydował się na rozwiązanie z liny w końcowych partiach zejścia, gdzie teren wymagał jeszcze asekuracji. To ostatni sezon dla jednego z nich. Spod ściany zabrał go „wiertalot”. Był to bardzo trudny okres dla całej bazy. Flagi, na znak żałoby po śmierci trzech alpinistów, zostały opuszczone do połowy.

Na odstresowanie zaprosił nas Jurij Siergiewicz Saratow – naczelnik KSP od 1985 r. (pierwszy sezon w Bezingi w 1960), autor kilku dróg w rejonie, od lat koordynujący pracę ratowników i utrzymujący łączność ze wszystkimi zespołami zmagającymi się z trudnościami na poważnych drogach – bałkarski koniak pomógł nam wpisać ostatnie wydarzenia w historię zmagania z górami – tę ciemniejszą.

Wieczorem grupa z Kaliningradu zaproponowała saunę. Pot i lodowata woda prosto z górskiego strumienia, pomogły do końca zmyć brudy ostatnich dni.

W alpinizmie chyba już tak jest, że obok sukcesów i radości ze zdobywanych ścian, wierzchołków, towarzyszą nam ludzkie tragedie i śmierć.

Znajomy Pietia, właśnie zakończył I stopień w Książeczce Alpinisty wydał z tej okazji mocne party...

## Coś z niczego, czyli pierwsza polska droga bigwall w Aladaglar w południowo-wschodniej Turcji.

Borysław Szybiński

Wyjeżdżamy z Krakowa 8 września w niedzielę wieczorem. Toyota corolla potężnie doładowana - wiertarka, spity, akumulatory, kupa szpeju, prawie kilometr lin... To wszystko musi ważyć swoje. Jeszcze tylko upychamy bułki na drogę i ruszamy, do Azji mamy kawałek. Jesteśmy w trójkę: ja, Jacek Studencki i Marek Cincio. Zaraz za granicą stówka mandatu od Czecha za prędkość 50 km/h – czyli wszystko w normie. Potem, przez następnych 48 godzin żadnych atrakcji, paliwko, kawka, papu, kima i za kółko. Nie ma czasu, w górach idzie zima. Pozwiedzamy w drodze powrotnej. Po przeszło dwóch dobach jazdy non-stop docieramy do celu. Na miejscu spo-

tykamy się z mieszkającym w pobliżu wspinaczem, gość zowie się Recep, jest właścicielem miejscowego kempingu. Szybko okazuje się, że na skutek porozumienia lokalnych alpinistów zostało zabronione spitowanie na ścianach szczytu Demirkazik, który był naszym pierwotnym celem. Porozumienie to weszło w życie całkiem niedawno, więc nic dziwnego, że w Polsce o tym nie słyszeliśmy. Na szczęście na innych ścianach jest jeszcze całkiem sporo ciekawych, wolnych linii. Nie tracimy czasu i kolejnych parę dni spędzamy



na poszukiwaniach tej najpiękniejszej, trudnej i najbardziej nam odpowiadającej. Wybór dosyć szybko pada na zupełnie dziewiczą, groźną, północną ścianę szczytu Büyük Mangirci (2700 m). Planujemy wytyczyć linię zbliżoną do direttissimi. Ciężko nam nawet początkowo określić jak długi będzie nasz projekt, ponieważ na ścianie nie ma jeszcze żadnej drogi. Góry Aladaglar są dzikie, bardzo suche, woda dostępna jest tylko w dolnych partiach dolin. Zakładamy bazę niedaleko obozowiska miejscowego pasterza u wylotu doliny Mangirci. Ponieważ pasmo Aladaglar nie jest bardzo uczęszczane przez turystów i wspinaczy, w góry można bez ograniczeń wjeżdżać autem. Do naszej bazy prowadzi kilkunastokilometrowa szutrowa droga, stąd mamy jeszcze godzinę podejścia pod ścianę. Nie tak daleko. Niby nie tak daleko, ale sprzętu do zanieśienia jest sporo, więc trochę marudzimy zanim zarzucimy wory na plecy. Podchodzimy długo, często się zatrzymujemy i dyskutujemy nad dokładnym przebiegiem linii.

W końcu docieramy do podstawy ściany, przeszepełujemy się i atakujemy. Pierwszego dnia działam ja. Nie czuję się zbyt pewnie z tonami żelastwa na sobie. Kiedy to ostatni raz wisiało się na skyhooku? Chyba że dwa lata temu. Zresztą stojąc pod ścianą zawsze czuję respekt, a teraz tym bardziej, mamy w końcu wytyczyć nową drogę na dziewiczej ścianie. Na dodatek początek trochę kruchy, niedobrze, zastanawiamy się, czy się nie wycofać i nie zacząć w innym miejscu. Długo szukam sensownej linii, ale na szczęście w końcu udaje mi się poprowadzić całkiem fachowy wyciąg omijający kruche fragmenty. Następnego dnia działa Cincio ze Studentem, ja odpoczywam w bazie. Po powrocie chłopaki miny mają nietęgą, znowu to się rusza, tamto też się rusza... Nic, wyżej wygląda dobrze, będziemy musieli trochę poczyścić. Kolejny wyciąg, objany przez Studenta to już bajka. Super lita, trudna płyta, na pewno siódemkowa. Gość trzyma pierwszy raz wiertarkę w ręce, staż wspinania też nie największy, zobaczymy, co to będzie. O dziwo daje radę, klnie, marudzi, ale wierci, napiera do przodu. Po trzecim wyciągu duża półka i dalej przewieszona ściana, teraz moja kolej i znowu ten sam problem – krucho. Cały dzień marnuję na próbę przedarcia się przez dziesięciometrowy pas kruchej skały, ponad którą wspinanie wygląda naprawdę super –



Büyük Mangirci.

Fot. M.Cincio

przewieszenia, zacięcia zakończone okapami. Do tego wydaje się, że to wszystko mogłoby puścić... Poezja. Wspinam się, zjeżdżam kawałek, w prawo, w lewo, a może tam, a może tu... Nic z tego, zostają ciągle pieprzone trzy metry przewieszzonego rzęchu, jak w Himalajach 50 m od szczytu. Muszę się tam dostać!

Halo, chłopie ochłoń trochę, bo zaraz zlecisz z jakimś telewizorem prosto Cintkowi na łeb i tyle z tego będzie. OK, pasuję, trzeba uderzyć w innym miejscu, nie będzie cudnych okapów. Zwijamy zabawki i zjeżdżamy na dół, humory mamy średnie. Następne dni to mozolne wydzieranie kolejnych metrów trudnej technicznie ściany, przedzielane restami oraz przymusowymi przestojami w dni deszczowe, których w miarę upływu czasu jest coraz więcej. Cykl działania jest trzydniowy – asekuracja, objanie, dzień odpoczynku, każdy po kolei. Wspinanie jest bardzo ciekawe i różnorodne – płyty, rysy, okapki, zacięcia. Po feralnym wyciągu nad półką skała aż do szczytu jest bardzo dobrej jakości. Niestety dość ostra, zupełnie jak na Barracudzie, którą poprowadziłem z Elizą Kubarską i Dawidem Kaszlikowskim dwa lata wcześniej.



Drugiego października kończymy objąć drogę. Efektem naszego działania jest 8 wyciągów – 400 m trudnego wspinania. Cała linia jest asekurowana spitami, jednak nie jest to pełna asekuracja. W łatwiejszym terenie runouty mają nawet do 8 m długości. Stanowiska zrobiliśmy z dwóch spitów oraz kolucha zjazdowego. Po dwudniowym odpoczynku, planujemy atak od dołu, ale rano oczywiście leje, luzik, można pospać. To znaczy ja i Student śpimy spokojnie, natomiast Cincio zdecydował się zostać prawdopodobnie pierwszym w historii alpinizmu pogromcą wielkiej ściany nie używającym namiotu, w razie deszczu zmykał do auta. Tego samego dnia przed południem wychodzi słońko, więc postanawiamy uderzyć. Ile urobimy, tyle nasze, zwłaszcza, że i tak mamy zostawione poręczówki, ponieważ planujemy zrobić

zdjęcia i kręcić film. Ewentualnie po ukłasyfikowaniu wszystkich wyciągów, naprzemy od dołu na całość. Do wieczora udało się zrobić pierwsze trzy wyciągi, wspinanie super, fajna, logiczna linia. Trzeci wyciąg rzeczywiście okazał się trudny – około 7b.

Następnego dnia pobudka niby o świcie, ale się rozwleka, wszyscy zmęczeni, niewyspani. Śniadanie, papierosy, kawka, w rezultacie jesteśmy w ścianie trochę późno. Małpujemy odcinek, który wczoraj przewspinaliśmy. Teraz kolej na wyciąg obity przeze mnie. Wiem, że jest tam bardzo parametryczny crux. Ustalamy, że spróbuje Student, który ma zdecydowanie największy zasięg. Dosyć szybko dochodzi do najtrudniejszego miejsca, walczy, napina się i... uff, daje radę. Ruch jest naprawdę długi i na dodatek od odciążu do odciążu, nie da się po prostu skoczyć. Problemem pozostała tylko wycena dla

normalnego człowieka (Student ma 2 metry), ostatecznie zostaje 7b. Kolejny wyciąg objął Cincio, więc on atakuje. Miało być łatwo, ale szybko okazuje się, że wcale nie jest. Cincio cały sezon walczył z kontuzjami i kominami, więc siłą rzeczy nie jest w najlepszej formie, poległ gdzieś w połowie. Studentowi udaje się wydrzeć jeszcze parę metrów więcej, ale w końcu też spada. No, to teraz ja. W zasadzie w ogóle nie nastawiałem się, że będę się wspiął, szybko wiąże buty i napieram. Pojawia się nerwowość, ruchy jakieś nie te, brak swobody, ale grzeję do góry. Jest trudno, mocno zapinam, żeby na pewno nie spaść, skutecznie, ale nie fachowo, tracę dużo sił, tak nie powinno się w ogóle wspiąć. Zwracamy ze Studentem honor Cintkowi, bo wytykaliśmy mu, że strasznie maru-



Linia drogi *Creatio ex Nihilo*

dził przy objaniu banalnego wyciągu. No no, runouty też niczego sobie, jednak to prawda, że spitowanie można trenować na kominach.

Następny wyciąg to moje dzieło, na pewno najtrudniejszy, zaczyna się okapiem. Wbijam się, dygocąc trochę cały czas. Trzecia wpinka strasznie wybiera (sam ją wierciłem), walczę, walczę, dyszę, sapię, półdynamicznymi ruchami docieram jakoś do „no-hand-rest”, ale spruło mnie całkiem konkretnie. Teraz czekają mnie połogie płytki z mikro chwytami. Wiem, że jest przede mną jeszcze jedno trudne miejsce, prawdopodobnie najtrudniejsze na całej drodze, więc sobie porządnie restuję. Restuję i restuję, jeszcze bym postał chwilę, ale trzeba przeć dalej, nie ma czasu. Zaczynam skradać się powoli po chwytach i stopieńkach, idzie w miarę gładko, aż w końcu dochodzę do cruxa cruxów.

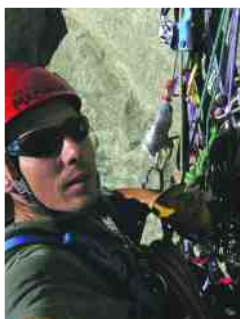
Pierwsza przymiarka, tak żeby tylko pomacać chwyt, przypomnieć sobie, o co chodzi. Jak ja to robiłem przy objaniu? Dokładnie nie pamiętam, nie mogę się dobrze wstać, brak stopnia na lewą nogę, kurewsko krzywo, może jak próbowałem z wiertarką to stanąłem na spicie? A może jednak nie... zresztą nieważne. Skoncentruj się i napieraj. Wycofuję się, żeby trochę odpocząć, ale nie jest to jakiś perfekcyjny rest. Druga próba i znowu się motam, nie mogę znaleźć sekwencji... I tak jeszcze kilka razy. Dobra, dobra albo wóz albo przewóz, nie ma co kombinować za dużo, bo tylko meczę się coraz bardziej. Trzeba po prostu konkretnie strzelić do ścisko-klamki i tyle. Wstawiam się w tę krzywą, niewygodną, jedyną możliwą pozycję, dyszę, sapię, widzę ścisko-klamkę, znam ją, pamiętam z objania, wiedziałem, że muszę dziwkę dobrze zapamiętać. Cisza, nie ma nic dookoła, jedyne co widzę, jedyne, co jest, to ścisko-klamka, jest daleko, za daleko... cisza się wydłuża, zastygam, czas stoi w miejscu... I w końcu jest. Gdzieś tam pod czachą łączą się obwody, przez ułamek sekundy wierzę, widzę to! BACH! Teraz wszystko dzieje się już samo, ja tylko patrzę z boku – palce zaciskają się na klamce, z gardła wydobywa się dziki wrzask. Udało się, wracam do rzeczywistości, gęba się cieszy, przywalczyłem.

Wspinamy się dalej, mamy szansę skończyć przed zmierzchem. Niestety, na przedostatnim wyciągu Student zwała się z jakimś stopniem tuż przy stanowisku, co praktycznie przekreśla nasze szanse na skończenie drogi tego dnia. Ale próbujemy, jest przecież totalnie blisko. Kiedy wiąże się, jest już szaro, zimno, nie więcej niż 10 stopni. Wbijam się, chociaż chyba wszyscy wiedzą, że to bez sensu. W cruxie już naprawdę niewiele widzę, muszę się poddać. Nie dało się, zabrakło dosłownie 15 minut. Trzeba będzie wrócić jutro.

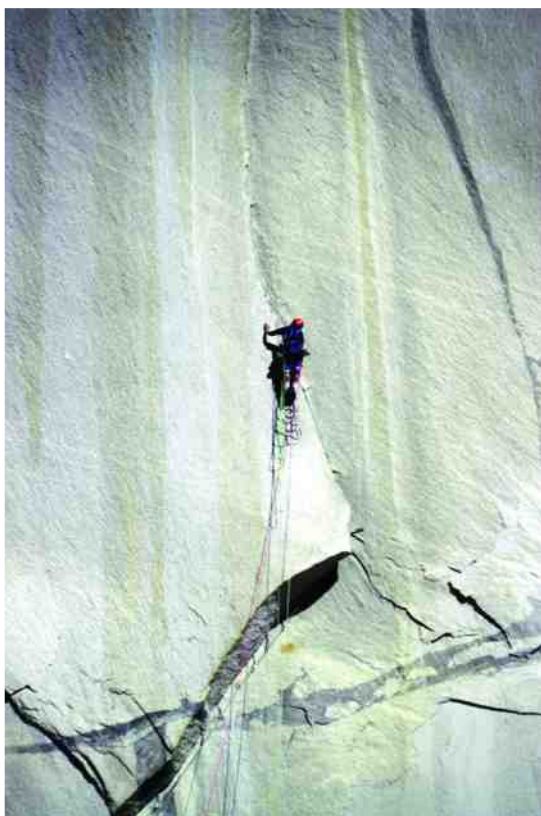
Ostatni wyciąg *Creatio ex Nihilo* udało się poprowadzić następnego dnia. Trochę czasu i wysiłku zabrało nam jeszcze zwiezenie całego szpeju ze ściany i przetransportowanie wszystkiego z powrotem do bazy. W dolinie zostaliśmy jeszcze jeden dzień, żeby spokojnie pożegnać się z Aladaglar, zapakowaliśmy dzielną toyotę i ruszyliśmy w drogę powrotną do Polski.

Serdecznie dziękujemy PZA za wsparcie finansowe, oraz firmom: Polar Sport, Lanex, Lhotse.

## Pierwsze solo-clean na Zodiaku



W końcu jesienno-sezonnego w Yosemitech dotarłem na Camp Four w strachu przed wizją opadów śniegu i częstych załamań pogody. Jednak tego roku było wyjątkowo słonecznie. Pogoda, nawet pomimo złych prognoz, była bardzo dobra. Miałem jeden cel, więc bez wątpliwości od razu wbiłem się w Zodiaka. Koniecznie chciałem wspinać się w stylu clean, czyli hacząc bez użycia młotka. Zodiak, po tzw. „Wielkim Czystczeniu” we wrześniu 2004 r., stał się dużo trudniejszy, bardziej ryzykowny i technicznie wymagający. Wiele zespołów było zmuszonych do wycofów, a przejścia clean stały się wyjątkową rzadkością (jedno w czerwcu tego



Kluczowy wyciąg.

Fot. T. Evans

roku).

W ścianie (pomijając nity) jest ok. 10-15 starych haków, kości lub copperheadów, więc „Wielcy Czystściciele” (Ivo Ninov, Gabriel Mc Neelly, Bryan Law) dokonali ogromnego dzieła znosząc pęki żelaza i śmieci z tej pięknej drogi. Nota bene, może przydałoby się to samo na Kazalnicy?

Przejście solo-clean stało się faktem, mimo zwątpienia pytanych „informerów” i własnej niepewności, drażącej psyche do ostatnich metrów drogi. Już na starcie musiałem przerwać pierwszy wyciąg zjeżdżając i walcząc z niedźwiedziami w obronie mojego wora transportowego. Podobno, w poszukiwaniu żarcia, potrafią haczyć w terenie do A1+... Wspinaczka bez młotka zmuszała mnie do szczególnej precyzji w osadzaniu minikostek. Dodatkową trudnością dla mnie było to, że nie miałem camhooków ani alienów. Następnym radzę zdobyć ten sprzęt za wszelką cenę (w miejscowym sklepie, o tej porze roku, są duże braki). Ze ściany znikło również wiele rzędów nitów, tak więc konieczne są wysięgi z ostatnich szczelbi, a np. na jednym z końcowych wyciągów (od Peanut Ledge) musiałem wyjść na 30-metrowy „spacer” na dwóch camach nr 4 bez przelotu (polecam Relanium lub dodatkowe nr 4 lub 5).

Zodiak jest wyjątkowo piękną drogą. W ścianie spędziłem 6 biwaków, a moje przejście było pierwszym solo-clean.

Marek Raganowicz



Wejście do Białego Kręgu  
Fot. T. Evans

## Apel autorów dróg w sprawie akcji „Tatry bez młotka”

Szanowni koledzy,

w niepozornym odnośniku do tekstu powszechnie akceptowanego, także przez niżej podpisanych, Porozumienia Tatrzańskiego, znajduje się ważne zdanie:

*Odhaczenia, w czasie których niezbędna jest instalacja punktów wierconych, stanowią z konieczności ingerencję w charakter drogi – sądzymy jednak, że stosując zasadę minimalizacji środków można ten wpływ ograniczyć do niezbędnego minimum. Sugerujemy także przyjęcie dobrego obyczaju, jakim byłoby uzgadnianie z autorami odhaczanej drogi (jeżeli jest to możliwe) planowanych zmian w rodzaju stałej asekuracji.*

Postulat konsultacji ewentualnego wyposażenia drogi w spity czy ringi jest niezwykle ważny, ponieważ stanowi poszanowanie wysiłku autorów drogi w jej poprowadzeniu, a ponadto zapobiega niekontrolowanemu osadzaniu tychże punktów. Wydaje się, że jest to zasada powszechnie akceptowana, nie zawsze jednak była ona stosowana w praktyce. Czy ktoś pytał Janusza Fereńskiego o umieszczenie spitów na jego drodze na Mnichu? Albo Wojciecha Kosińskiego o jego zacięcie, Andrzeja Pietscha o Warian R? Nie drażąc zbytnio tematu uznajemy jednakże, że Mnich – należąc do strefy sportowej, której istnienie wszyscy usankcjonowaliśmy – traktowany jest nieco inaczej. Rozumiemy to. Dobrze byłoby jednak i tu, przynajmniej w przyszłości (pozostają przecież Mniszek i Ministrant), stosować się do wspomnianej, jakże rozsądnej zasady.

### **Nie o Mnicha jednak chodzi...**

Prace „Akcji TBM” najbliższego lata mają objąć Kazalnicę. Mamy w pamięci spór podczas krakowskiego festiwalu dotyczący obicia stanowisk na drodze na Kotle Kazalnicy i kwestie dodatkowych punktów na Filarze. I właśnie w tej sprawie chcemy zabrać głos, jako autorzy dróg, których ta akcja może dotknąć. Uważamy, że nasz głos powinien być



wzięty pod uwagę i wyrażamy go tym usilniej, że czas upływa i za 10 czy 20 lat możliwość konsultacji może zostać nieuchronnie ograniczona, z przyczyn od nas, jak wiadomo, niezależnych. W naszej zgodnej opinii, jako autorów dróg leżących zarówno w strefach sportowych jak i poza nimi, powinny one pozostać nienaruszone w tym sensie, że żadne dodatkowe punkty wiercone nie powinny się na nich znaleźć, i to zarówno na wyciągach jak i na stanowiskach. Jakikolwiek dodatkowe użycie spitów zmieni, naszym zdaniem, wymogi psychiczne tych dróg i będzie stanowiło naruszenie pkt 3 Porozumienia Tatrzańskiego, który głosi:

*Apelujemy, aby podczas realizacji nowych projektów uszanowany był charakter istniejących dróg: ich specyfika (letnia czy zimowa), wymagania psychiczne oraz rzeźba i estetyka.*

Powyższe zastrzeżenie nie dotyczy oczywiście akcji usuwania starych haków, którą całkowicie popieramy. Głęboko wierzymy, że nasi młodzi koledzy uszanują nasz punkt widzenia i pozwolą istnieć starym, tatrzańskim klasykom w niezmiennym kształcie. Niech pozostaną one żywym dowodem historii taternictwa także dla przyszłych pokoleń.

Z taternickim pozdrowieniem,  
Jan Kiełkowski, Mariusz Koras, Janusz Kurczab, Jacek Luniak, Andrzej Skłodowski, Janusz Skorek, Danuta i Zbigniew Wach, Krzysztof Zdzitowiecki

## La Liberté, czyli o tym, jak się wychodzi na wolność

Anna Gajewska

*Największe przewieszenie w Europie – Bournillon w masywie Vercors we Francji – przyciągało uwagę świata wspinaczkowego już w latach 70-tych XX wieku. Pokonane po raz pierwszy w roku 1990 przez czołowych szwajcarskich wspinaczy – braci Yvesa i Claude'a Remy, którzy wytyczyli w gigantycznym okapie drogę nazwaną przez nich La Liberté, do dziś rozpala wyobraźnię amatorów ekstremalnego hakowego wspinania z całej Europy. Historia zmagania ludzi z tą imponującą formacją skalną ma również swoją polską kartę... Przedstawiamy relację z pierwszego kobiecego przejścia tej drogi.*

Myśl, by zmierzyć się z największym okapem w Europie, narodziła się w mojej głowie jeszcze na początku lat dziewięćdziesiątych, po przeczytaniu artykułu o prawie piętnastoletnich, zaiste karkołomnych zmaganiach braci Remy, którzy jako pierwsi przeszli tę drogę. Kilka lat później znakomity wspinacz z Zakopanego, nieżyjący już Maciek Rysula, wraz z Maćkiem Cukrem, jako pierwsi Polacy pokonują wnękę Bournillon. Ich relacja z wyjazdu sprawiła, że moja chęć zmierzenia się z monstrualnym okapem przerodziła się niemal w obsesję. Następne lata były jednak dla mnie solidną lekcją pokory i cierpliwości. Pod koniec lat dziewięćdziesiątych dwukrotnie stawałam pod tym ogromnym skalnym dachem, który w rzeczywistości jest wysokim na 120 metrów wejściem do jaskini, i dwukrotnie z przyczyn po części obiektywnych, nagle okazywało się, że tak łatwo jednak nie będzie... Mimo niepowodzeń ani przez chwilę nie przestałam wierzyć, że uda mi się moje obsesyjne pragnienie przekuć wreszcie w realny byt.

Po spotkaniu Gabrysi Redde z Krakowa, oraz kilku wspólnych hakówkach, nabrałam pewności, że to się w końcu musi udać. Dodatkowo „psycha” Gabrysi okazała się odwrotnie proporcjonalna do jej niewielkiej postury, nie wspominając o jej imponującej wiedzy



i umiejętnościach, związanych ze wspinaczką hakową. Oczekiwanie na kolejną konfrontację z przewieszeniem o niebotycznych rozmiarach dłuży mi się niemiłosiernie. W deszczowy majowy poranek wraz z Andrzejem Maciata, Jarkiem Cabanem oraz Gabrysią Redde wsiadłam wreszcie do pożyczonego

busa, aby po przejechaniu przeszło 1300 km po raz kolejny stanąć pod ogromnym okapem. 180-metrowe przewieszenie, wliczając w to około 80 metrów miejscami idealnie płaskiego dachu, robi przytłaczające wrażenie na całej ekipie. Żadna fotografia ani najdokładniejsze opisy nie oddadzą w pełni szczególnej atmosfery tego miejsca, które na pierwszy rzut oka wydaje się odpychające i ponure. Nieco speszeni ogromem wiszących nad nami skał próbujemy policzyć wyciągi, jednak bez lornetki okazuje się to bardzo trudne, zwłaszcza że spora część drogi pogrążona jest w półmroku.

Następny dzień zajmują nam przygotowania sprzętu i opracowanie taktyki. Ustalamy, że Andrzej i Jarek będą wspinać się pierwsi, ja z Gabrysią za nimi, w odległości jednego wyciągu. W ten sposób nie będziemy sobie przeszkadzać i unikniemy tłoku na wiszących stanowiskach. Nie mogę się doczekać, kiedy nareszcie ruszymy. Zdaję sobie sprawę, że dopiero fizyczny kontakt ze ścianą pozwoli mi uwolnić się od pewnego rodzaju niepokoju, wynikającego między innymi ze świadomości, iż na tej drodze w razie jakichś problemów nie można się „wyluzować” idąc na drugiego. O podchodzeniu na przyrządach można zapomnieć. Na dodatek osobie idącej na drugiego pokonanie każdego z wyciągów zajmuje właściwie tyle samo czasu co prowadzącemu.

Wspinaczkę rozpoczyna Gabrysia. Jestem naprawdę zaskoczona widząc, jak szybko pokonuje pierwszy wyciąg. Dla mnie te pierwsze metry to walka ze sprzętem, który „złośliwie” mi się płacze. Na szczęście, z każdym kolejnym metrem jest coraz lepiej i nawet pot mnie już tak nie zalewa. Im jesteśmy wyżej, tym mamy coraz większe problemy z porozumiewaniem się. Dokładnie pod nami rwący strumień wody wypływa z jaskini z ogłuszającym łoskotem potęgowa-



Prowadzi G. Redde.

Fot. A. Gajewska

nym przez wysokie ściany i zamkniętą przestrzeń. Można krzyczeć do zdercia gardła, a komendy i tak nie docierają do partnera, pogrzebane w nigdy nie milknącym hałasie. Nawet z odległości kilku metrów trudno się dogadać, gdyż dźwięki nabierają dziwnego pogłosu, który zniekształca znaczenie słów. Trzeba więc polegać na własnej intuicji i mieć nadzieję, że z ewentualnych nieporozumień nie wynikną jakieś poważniejsze kłopoty.

Pierwszy dzień wspinania kończymy po trzecim wyciągu. Wycofujemy się 50-metrowym skośnym zjazdem po linie statycznej, jeszcze przed rozpoczęciem wspinania przywiązanej na dole do metalowej barierki otaczającej z jednej strony rozlewające się w dole jezioro. Następnego dnia ta sama lina po-

służy nam do dotarcia pod okap. Kończąc pierwszy etap wspinaczki jesteśmy zmęczone, ale jednocześnie uspokojone i szczęśliwe. Wszystkie emocje związane z przyjazdem tutaj już opadły, narazie możemy skoncentrować się na technicznych problemach drogi, która z bliska nie przytłacza już tak bardzo swoim ogromem. Pierwszy dzień wspinania postanawiamy z chłopakami uczcić małym co nieco – a że to co nieco marki „33 EXPORT” sprzedawane jest w litrowych butelkach, to i radość jest podwójna.



Od lewej: J. Caban, A. Gajewska i G. Redde.

Następne dni wspinania niewiele różnią się od pierwszego. Powoli, lecz systematycznie posuwamy się do przodu, w ustalonej na początku kolejności – najpierw panowie, potem panie. Każdy kolejny wyciąg to już tylko spokojne powtarzanie rutynowych czynności, wykonywanych niemal mechanicznie. Czas przeznaczony na asekurowanie Gabrysi poświęcam kontemplowaniu otoczenia – zresztą, chyba z dość niecodziennej perspektywy. Powoli zaczynam rozumieć, dlaczego bracia Remy nazwali tę drogę „Wyjściem na wolność”. Pierwsze wyciągi La Liberté, pogrążone w ponurym półmroku i przenikliwym chłódzie, przebiegają w przestrzeni ogromnej, lecz ograniczonej, niczym wilgotna i ciemna, monstrualna gardziel, w której człowiek musi czuć się nieswojo. Każdy pokonany wyciąg przynosi więcej światła, promienie słoneczne wdzierają się pod skalny dach coraz śmielej wydobywając delikatny, ciepły odcień różowego wapienia. Wreszcie przychodzi długo oczekiwany moment, gdy zamiast skały, znów można zobaczyć nad głową błękitne niebo i odetchnąć ciepłym powiewem otwartej przestrzeni. Po klaustrofobicznych wrażeniach z pierwszej części drogi, ta chwila niesie ze sobą smak niczym nie skrępowanej swobody, uwolnienia, wyjścia z zamknięcia. Czy bracia Remy mieli na myśli również mocno „fizyczną” stronę tego przedsięwzięcia? – przedsięwzięcia, które można by podsumować krótkim zdaniem, wielokrotnie cisnącym mi się na usta w trakcie kolejnych dni walki o uwolnienie się ze świata mroku: „a teraz, proszę państwa, dajemy z buły” ...

Na jednym z ostatnich stanowisk, tuż

przed wyjściem z dachu, czujemy, że łyzy wzruszenia napływają nam do oczu – nasi tu byli!!! O czym świadczą intymne wyznania, wpisane w starannie wyrytym na skale sercu. A tak a propos, pozdrowienia dla zakochanego GB z Zakopanego! Ostatnie 40 metrów dachu to idealnie płaska formacja. Mamy wręcz wrażenie, że zaczynamy wspiąć się głowami w dół. Potem trzeba pokonać kilkadziesiąt metrów przewieszanej ściany, by dotrzeć do bardzo dobrze przygotowanego stanowiska zjazdowego, zaopatrzonego w stalową pętlę. Wygląda na to, że dla większości zespołów w tym miejscu kończą się zmagania z wielkim okapem, nad którym wznoszą się urwiska kruchej, mocno zwietrzałej skały. Jeszcze tylko ostatnie spojrzenie z tej niezwyklej perspektywy i kolejno mkniemy w dół po 90-metrowej linii, która wydaje się tak cienka, jak pajęcza nitka. Pod ścianą czekają z gratulacjami Jędrrek i Jarek, którzy skończyli drogę około dwóch godzin przed nami. Cytując ŚP Maćka Rysulę zdaje się, że „my też wyszliśmy na wolność...”

\*\*\*

Trzy lat temu całe otoczenie Wnęki Bourillon zostało uznane za teren niebezpieczny, ze względu na powtarzające się obrywy skalne. W związku z tym zamknięte zostały drogi dojazdowe do elektrowni wodnej, spod której odchodzi ścieżka prowadząca pod okap. Wspinacze mogą przebywać na tym terenie wyłącznie na własną odpowiedzialność. Nie zaleca się biwakowania pod okapem, choć

można tam znaleźć resztki drewnianego pode-  
stu. Obecnie większość zespołów kończy  
drogę po przejściu jej najtrudniejszego i naj-  
ciekawszego zarazem fragmentu czyli dachu  
i części przewieszenia, nie wchodząc w dalszą  
pionową część ściany.

Dojazd: z Grenoble kierujemy się na  
park du Vercors. Następnie drogą prowa-  
dzącą przepięknym wąwozem Bourne dociera-  
my do miejscowości Choranche. W Choranche  
należy odnaleźć camping „CHEZ LA ME-  
RE MICHON” który również może być naszą  
bazą wypadową. Od campingu kierujemy się  
boczną, wąską, choć dobrze utrzymaną  
drogą, w kierunku elektrowni wodnej. Po  
przejechaniu ok. 4 km musimy zostawić  
samochód, gdyż dalsza część drogi jest  
wyłączona z użytkowania. Po przejściu ok.  
800 m schodzimy z asfaltu na wygodną  
ścieżkę, znajdującą się z prawej strony, którą  
po około 20 minutach podejścia docieramy  
do ogromnego cyrku skalnego z 300-me-  
trowym wodospadem. Wnękę Bournillon  
(wsp. UTM 31 T 691543 4992449) widać do-  
piero po podejściu pod ścianę. Ścieżka prowa-  
dząca pod okap jest łatwa do zidentyfikowa-  
nia, gdyż umieszczono przy niej tablicę z napi-  
sem „Zakaz wstępu”...

Wspinanie wyłącznie techniką hakową.  
Pomimo iż droga została w dużej części

zaopatrzona w haki, nity i spity, trzeba się li-  
czyć z tym, że będzie to wspinanie (jak to  
określił jeden z braci Remy) „atletyczne” i wy-  
czerpujące fizycznie, głównie ze względu na  
miejscami spore odległości pomiędzy kolejnymi  
spitami. Wszystkie stanowiska są stosun-  
kowo dobrze obite. Odległości pomiędzy kolej-  
nymi stanowiskami wynoszą od 25 do 35 m.  
Linia drogi jest ewidentna.

### **Sprzęt:**

- lina dynamiczna 50–60 m,
- lina statyczna 100 m (linę statyczną  
należy przed wspinaniem przymocować do  
np. metalowej barierki częściowo otaczającej  
jezioro – dzięki temu unikniemy zjazdu do  
wody. Dodatkowo warto mieć przy sobie przy-  
rządy zaciskowe, które mogą okazać się  
niezbędne, gdy będziemy chcieli w miarę bez-  
boleśnie dociągnąć się do brzegu),
- 4 długie pętle oraz 6 klasycznej dłu-  
gości do budowania stanowisk,
- około 30 ekspresów różnej długości (li-  
nia drogi w dachu miejscami mocno się załamuje,  
używając dłuższych ekspresów unikniemy  
blokowania się liny),
- 20 wolnych karabinków i oczywiście  
normalny zestaw sprzętu osobistego do wspi-  
nania.

W ścianę warto również zabrać trochę  
więcej wody...

## **Bez większych sukcesów...**

### **Polski sezon zimowy 2007 w Alpach**

Kolejny sezon zimowy w Alpach nie może  
zostać uznany za udany. Również budzący na-  
dzieje eksperyment ze zgrupowaniem, po raz  
pierwszy od wielu lat zorganizowanym przez  
PZA, nie dał spodziewanych rezultatów. Był  
planowany na dłużej, a trwał tylko tydzień.  
Termin wyjazdu z Polski – 24 lutego – wydaje  
się nieco spóźniony, na dodatek nie trafiono  
na sprzyjające warunki. Najlepszym komenta-  
rzem do organizacji wyjazdu może być frag-  
ment sprawozdania kierownika zgrupowania  
Marcina Księżaka: „Uważam, że w przysz-  
łości, jeżeli realizowane by były takie obozy jak  
ten, to uczestnicy powinni mieć własny  
środek transportu i mieć możliwość wzięcia  
urlopu na czas trwania obozu w każdej chwili.”

W zgrupowaniu udział wzięli: Andrzej  
Głuszek, Wojciech Kozub, Adam Krzystanek,  
Marcin Księżak (kierownik), Jan Kuczera,

Piotr Pawlus, Tomasz Polok, Krzysztof Sadlej  
i Wojciech Ryczer. Jako cele główne stawiano  
przejście filarów Walkera i Croza na Grandes  
Jorasses, celami rezerwowymi były drogi: Col-  
ton-MacIntyre również na Jorasses, oraz  
Supercouloir na Mont Blanc du Tacul.

Dokonano dwóch przejść w murze Pré  
de Bar:

- Charlet-Ghilini, III 5, 500 m: M. Księżak,  
K. Sadlej i W. Ryczer, 1.03.2007;
- Madness Tres Mince, III 5, 500 m:  
J. Kuczera, T. Polok i W. Kozub, 1.03.2007.

Zaawansowaną próbę pokonania drogi  
Modica-Noury na Mont Blanc du Tacul pod-  
jęli w tym samym dniu 1 marca A. Głuszek,  
P. Pawlus i A. Krzystanek. Wycofano się  
z powodu bardzo złych warunków lodowych  
w ścianie. Duże opady śniegu i silny wiatr  
skłoniły uczestników zgrupowania w dniu 5  
marca do rezygnacji z dalszej działalności.

W tej sytuacji do rangi najlepszego polskiego przejścia sezonu w Masywie Mont Blanc urasta dokonanie dwójki Mariusz Nowak i Alfred Sosgórnik. W dniu 19 lutego pokonali oni wyżej wspomniany Supercouloir na Mont Blanc du Tacul. Ta ciekawa i wymagająca droga ma wycenę IV 5+ M6 85° 800 m według najnowszego przewodnika Francoisa Damilano.

A oto krótka relacja Alfreda Sosgórnika:

„Pod ścianę dotarliśmy poranną kolejką z Chamonix na Aiguille du Midi, a następnie na nartach zjechaliśmy pod ścianę. Pogoda była perfekcyjna – temperatura kilka stopni poniżej zera. Niestety, po dotarciu pod ścianę okazało się, że jest w niej już zespół austriacki, który radził sobie bardzo słabo

(w końcu wycofał się w pół drogi), tak że zaczęliśmy wspinać się dopiero o godzinie 13! Pierwsze dwa wyciągi to mieszanina lodu i skały (kiedyś V+ A1) z fragmentami przewieszonymi, na końcu drugiego wyciągu – efektowna przewieszka lodowa. Warunki lodowe w dolnej części niezłe, w górnej gorsze, lód cienki i bardzo kruchy. Droga została pokonana on sight. Ze względu na sprzęt pozostawiony pod ścianą od początku zaplanowaliśmy zjazdy, stąd po osiągnięciu grani szczytowej zjechaliśmy do podstawy ściany rezygnując z wejścia na wierzchołek. Przed północą dotarliśmy do Cosmique'a gdzie zostaliśmy opieprzeni przez chatara za zbyt późne wejście w ścianę. Następnego dnia wróciliśmy do Polski.”



Wschodnia ściana Mt. Blanc du Tacul. Rynna w środku zdjęcia to *Supercouloir*.

Fot. J. Kurczab

## Góry Ruwenzori

Michał Kochańczyk

Informacje encyklopedyczne o górach Ruwenzori są bardzo lakoniczne: „Masyw górski na granicy Ugandy i Republiki Kongo w Wielkim Rowie Afrykańskim między Jeziorem Edwarda a Jeziorem Alberta. Wysokie do 5119 m (Margherita). Na stokach do wysokości 1000-1200 m wiecznie zielone lasy równikowe, do 1800-1900 sawanny, do 2300-2400 lasy ze znaczną ilością domieszka gatunków iglastych, wyżej zarośla bambusów, wrzosów, łąki górskie, rumowiska skalne, od 4400 m wieczne śniegi i lodowce. Odkryty w 1889 roku przez H. M. Stanleya, zdobyty w 1906 roku przez wyprawę Luigi Amadeo di Savoia, księcia Abruzzów.”

Ruwenzori należą do najwcześniejszych wzmiankowanych w literaturze geograficznej gór Afryki. Po raz pierwszy masyw opisany został przez greckiego geografę Ptolemeusza w II wieku naszej ery. Ptolemeusz pisał o Górach Księżycowych (obecnie Ruwenzori często jest określane także tą nazwą) – „gdzie śniegi karmią jeziora – źródła Nilu”. Europejczycy odkryli to wspaniałe miejsce w połowie XIX wieku, podczas poszukiwań źródeł Nilu. Badacz Afryki, Amerykanin Henry Morton Stanley, był prawdopodobnie pierwszym podróżnikiem, który zobaczył Ruwenzori podczas wyprawy w 1889 roku, gdy odkrywał tereny położone wokół Jeziora Wiktorii. Stanley nazwał masyw Górami Gordona Benneta, na cześć właściciela New York Times'a, który sponsorował jego wyprawę. Jednak, na szczęście, nazwa ta nigdy nie przyjęła się.

W odróżnieniu od Kilimandżaro i Mont Kenya, będących pochodzenia wulkanicznego, masyw Ruwenzori to góry zrębowe, uformowane około dwa miliony lat temu w wyniku wypiętrzenia tektonicznego towarzyszącego formowaniu się zachodniej strony Wielkiej Doliny Ryftowej. Są olbrzymim blokiem granitowych skał prekambryjskich, wznoszących się na wysokość ponad 5000 metrów n.p.m., tworzących najwyższy niewulkaniczny masyw górski w Afryce, o długości 120 i szerokości 48

kilometrów. Te imponujące góry mają bardzo zróżnicowany relief obejmujący sześć grup górskich – Stanleya, Speke, Baker, Emin, Gessi i Luigi di Savoia.

W trakcie badań geologicznych ustalono, że w okresie największego zlodowacenia lodowce na Ruwenzori pokrywały obszar 200 km<sup>2</sup>. Ślady dawnego zlodowacenia spotkać można już na wysokości 3700 m – jeziora i kotły polodowcowe, moreny, zabagnione doliny polodowcowe. Obecnie lodowce pokrywają sześć głównych masywów, a obszar który pokrywają wynosi mniej niż 4 km<sup>2</sup>.

Klimat i roślinność, a co za tym idzie i krajobraz, zmieniają się tu w zależności od wysokości. W dolinach oraz odnogach Ruwenzori rozciągają się rozległe tereny bagniste, a wysokie rośliny, takie jak choćby papirus, stają się naturalną tarczą ochronną dla żyjących tu słoni. U podnóża gór porośniętych bujną trawą można spotkać żerujące antylopy, gazyle oraz bawoły. Powyżej 1500 m rosną wysokopienne lasy (dominują: cedr, kamforowiec i iglasty podocarpus, osiągający 50 metrów wysokości). Na wysokości 2500 m zaczynają się gęste zarośla bambusowe – naturalne środowisko lamparta, ponad nimi znajdują się partie tropikalnych lasów spowite nieustanną mgłą. To właśnie obszar występowania owych gigantycznych roślin. W tym niezwykłym świecie przyrody miejsce dla siebie znalazły słonie, no-



Ruwenzori – jezioro Kitandara.

Fot. M. Kochańczyk

sorożce, antylopy, koczkodany, okapi, bawoły, jednak najslawniejszym mieszkańcem tych lasów jest endemiczny goryl górski.

Ruwenzori to jeden z nielicznych masywów górskich o przyrodzie całkowicie pierwotnej, prawie nietkniętej przez człowieka. Spotkać tu można wysokie drzewa z gęstymi koronami, z których zwisają „koronkowe brody” porostów, ogromne paprocie, kwitnące epifity, lasy bambusowe, drzewiaste starce (Senecio), gigantyczne stroiczki (Lobelia), kobierce kwitnących nieśmiertelników (Helichrysum) i puszyste dywany mchów.

Wszystko zdaje się być tutaj dwa razy większe niż gdzie indziej. Dżdżownice osiągają 1 m długości i są tak grube, jak kciuk dorosłego człowieka. Czarne świnie leśne są olbrzymami wśród dzikich świń Afryki; ważą około 16 kg i mierzą 1 m. Górski bambus osiąga 9-12 m wysokości, a turzyca (gatunek trawy) 1,8 m. Dziurawiec rośnie na 9 metrów, a paprocie – 10 metrów, wrzosi dorównują drzewom (12 m).

Góry Ruwenzori wyznaczają naturalną granicę pomiędzy sawannami Afryki Wschodniej, a gęstymi lasami równikowymi kotliny Kongo. Zachodnie wiatry, wiejące znad Atlantyku i parujących równikowych lasów basenu rzeki Kongo, przemieszczają masy ciepłego i wilgotnego powietrza, które w zetknięciu z górami powodują ograniczające widoczność mgły, dają opady deszczu, śniegu, gradu i gęstą warstwę chmur, prawie stale otaczającą cały masyw. Stąd też wywodzi się ich nazwa. Bowiem Ruwenzori, nazywane często Rwenzori, a także Rwenzura i Rwenzururu, w języku plemion Bakondzo i Batoro, zamieszkujących te okolice, oznacza „góry tworzące deszcz” czy też „góry deszczowe”. Nazwa ta odpowiada całkowicie faktycznemu stanowi rzeczy. Spotkać można też takie nazwy, określające ten rejon, jak: Gambalagala („miejsce przyciągające wzrok”), Gamalaga gafumba biri („wielki kocioł, w którym gotują się chmury”), Balitume mpunga („poślij tam orła”), czy też po prostu Virika („śnieg”).

Nie ma tu właściwie odrębnych pór roku ani określonej pory deszczowej, a na dużych wysokościach występują duże wahania dobowe temperatur. Temperaturowo – w ciągu dnia panuje tu wieczne lato, a nocą wieczna



Ruwenzori - szczyt Aleksandry Fot. M. Kochańczyk

zima. Zła pogoda, a raczej nieustanny deszcz, w wyższych partiach gór śnieg, grad i nieprzenikniona mgła są stanem normalnym. Można też przyjąć, że małe strumienie mające swój początek w lodowych jeziorach na stokach Ruwenzori, zasilane ciągłymi opadami, są jednymi z najważniejszych źródeł Nilu.

Najwyższym punktem Ruwenzori jest Szczyt Małgorzaty (Margherita) na Górze Stanleya, wznoszący się na wysokość 5109 m. Góra Stanleya jest trzecią, po Kilimandżaro i Mont Kenya, najwyższą górą Afryki. Wiele pozostałych szczytów masywu plasuje się powyżej lub odrobinę poniżej wysokości 5000 m.

Do ochrony roślinności gór Ruwenzori przyczyniły się zarówno wierzenia miejscowej ludności, żyjącej u podnóża tych gór, według których góry te miałyby zamieszkiwać złe, groźne duchy jak i fakt włączenia tych terenów w obszar parków narodowych. Zachwycające piękno krajobrazu spowodowało, że zachodnią część gór Ruwenzori, znajdującą się po kongijskiej stronie granicy, już w 1929 roku belgijskie władze kolonialne włączyły do Parku Narodowego Alberta – pierwszego parku narodowego, jaki powstał we wschodniej Afryce. Obecnie nosi on nazwę Parku Narodowego Wirunga. W części gór Ruwenzori, która leży na terenie Ugandy, Brytyjczycy utworzyli w 1952 roku park narodowy, nazwany wówczas Parkiem Królowej Elżbiety. Później park otrzymał nazwę Ruwenzori, a w 1994 roku został wpisany na Światową Listę Dziedzictwa Naturalnego UNESCO.

## Feichtnerschacht 2006

Jakub Nowak

Pod kolejkę na Kitzsteinhorn przyjeżdżamy wczesnym rankiem 20 marca. Szybko przemieszczamy się do „bunkierbazy” na 2450 m i urządzamy się. Dwa dni później wchodzi pierwszy zespół i wkrótce zakłada biwak w Sali z Miśkiem (-450 m). Pierwsza dwójka od razu idzie sprawdzić wodny ciąg na -1015 m i łączy go z suchym ciągiem poznanym w 2005 roku do -1088 m. Druga dwójka wykonuje pomiary i reporeczuje ten ciąg „na mokro”. Na następnej szychcie chłopaki kontynuują eksplorację za wodą i szybko dochodzą do Syfonu KKTJ na -1145 m. Po ich wyjściu mamy mieszane uczucia, ale i tak nie jest źle... Zadaniem drugiego biwaku jest znalezienie obejścia syfonu i ewentualny reporecz tej części jaskini. Poszukiwania zaowocowały jedynie odkryciem górnego, suchego ciągu, który jednak sprowadza do znanych partii. Zaczynamy reporecz. Następny, trzeci biwak – w czasie jednej szychty reporeczuje ciąg od Białego Mostu do Tsu-

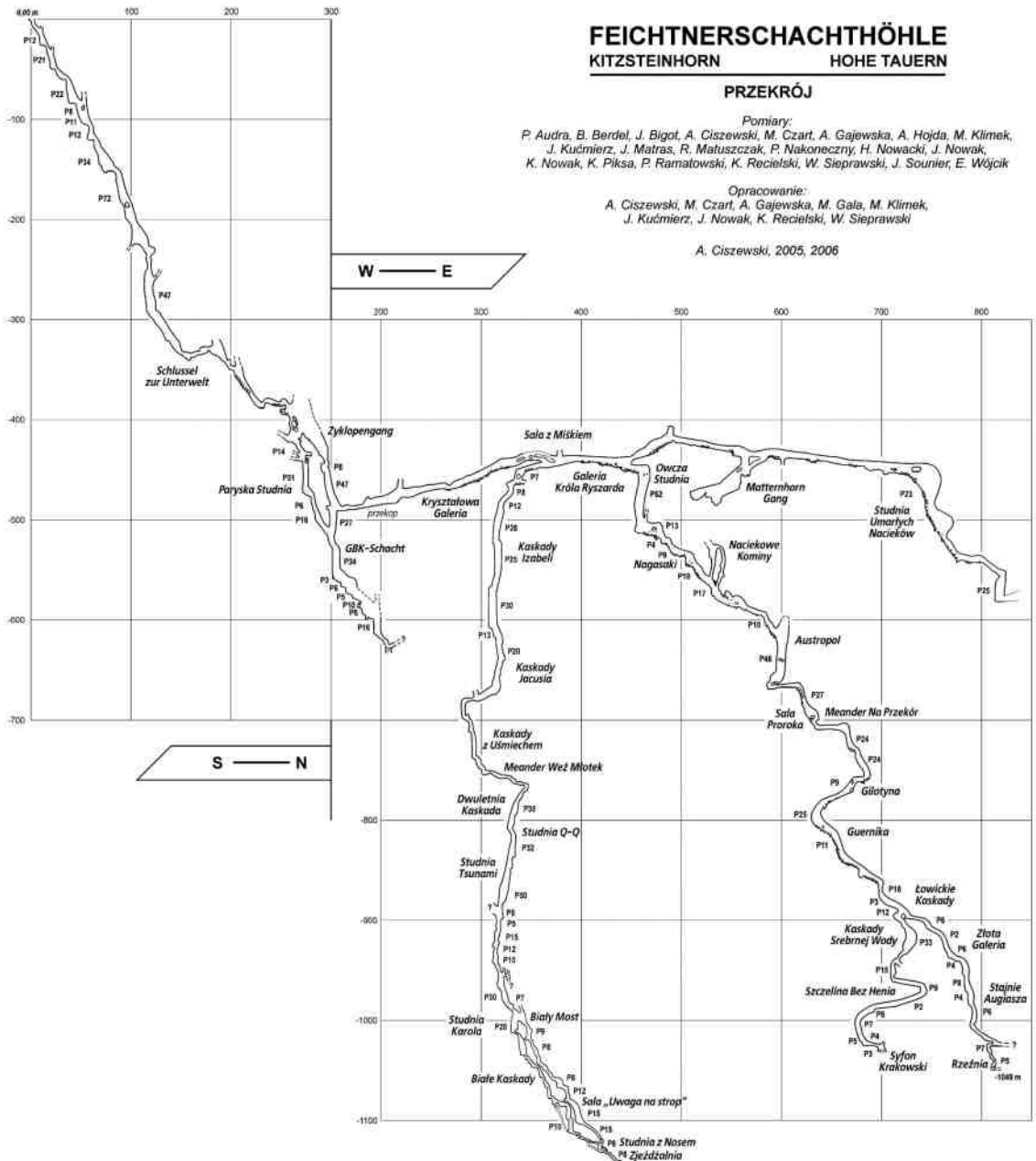
nami – dużo roboty, mało historii.

Czwarty biwak reporeczuje wszystko przed Me-ander Weż Młotek (-760 m) i transportuje część do biwaku. Na koniec jeszcze „szybka dwójka” wchodzi na kontynuację retransportu w jaskini i wynoszą biwak. Jednym zdaniem - postawienie „kropki nad i” przypłacamy męczącymi transportami...

Ale jest się z czego cieszyć. Feichtnerschacht staje się najgłębszą niewapienną jaskinią na Ziemi. Jest jedną z dwóch 1000-metrowych jaskiń powstałych w skale metamorficznej. A tak w ogóle to jaskinia ta jest klasą sama dla siebie, bo powstała w bardzo nietypowej dla zjawisk krasowych skale, czyli łupku węglanowo-mikowym.

Siódmego kwietnia wracamy do Polski.





## FEICHTNERSCHACHTHÖHLE KITZSTEINHORN HOHE TAUERN

### PRZEKRÓJ

*Pomiary:*  
P. Audra, B. Berdel, J. Bigot, A. Ciszewski, M. Czart, A. Gajewska, A. Hojda, M. Klimek,  
J. Kućmierz, J. Matras, R. Matuszczak, P. Nakoneczny, H. Nowacki, J. Nowak,  
K. Nowak, K. Piksa, P. Ramatowski, K. Rociński, W. Sieprawski, J. Sourier, E. Wójcik

*Opracowanie:*  
A. Ciszewski, M. Czart, A. Gajewska, M. Gala, M. Klimek,  
J. Kućmierz, J. Nowak, K. Rociński, W. Sieprawski

A. Ciszewski, 2005, 2006

### Podsumowanie

Wyprawa Krakowskiego Klubu Tatarnictwa Jaskiniowego działała od 19 marca do 7 kwietnia 2006 roku. W tym czasie odkryliśmy 300 m korytarzy i studni pogłębiając jednocześnie jaskinię do 1145 m.

W wyprawie udział wzięli: Marcin Czart vel „Misiek”, Michał Ciszewski vel „Furek”, Andrzej Ciszewski, Agnieszka Gajewska (SW), Piotr Herczeg (SCC), Marcin Kubarek vel „Qb”

(STJ Kraków), Robert Matuszczak vel „Melon” (WKTJ), Henryk Nowacki vel „Heniu”, Jakub Nowak, Krzysztof Nowak, Mirosław Pindel vel „Miki”, Paweł Ramatowski vel „Pablo” (STJ Kraków), Wojciech Sieprawski vel „Cieski”, Ewa Wójcik vel „Puma”. Wyprawę odwiedzili Miłosz Dryjański i Krzysztof Rociński. Jak zwykle wspierał nas Richard Feichtner.

## Hagengebirge 2002–2006

Dariusz Bartoszewski

Salzburskie Alpy Wapienne od 35 lat są najważniejszym terenem działalności eksploracyjnej polskich grotolazów. W trudnych warunkach alpejskich jaskiń swoje umiejętności szlifowało już kilka pokoleń polskich grotolazów, dokonując wielu znaczących odkryć, w tym uzyskując na krótko, w roku 1998, w jaskini Lamprechtsofen światowy rekord głębokości. Posiadanie przyznanego rejonu eksploracyjnego w masywach tego rejonu, pomimo zaznaczającej się w ostatnich latach tendencji do wyjazdów w dalsze rejony świata i kooperacji z ekipami z innych krajów jest ciągle dla wielu polskich klubów sprawą prestiżową.

Również i nasza ekipa wywodząca się z Sopotkiego Klubu Taternictwa Jaskiniowego i Sekcji Grotolazów Wrocław prowadzi od kilkunastu lat działalność eksploracyjną w tym rejonie. W latach 1995-2001 odbyło się 5 wypraw w masyw Hoher Göll zakończonych odkryciem szeregu jaskiń, w tym największej Ogrschacht (Studnia Ogrów) o głębokości 614 m.

W roku 2002 rozpoczęliśmy działalność w niedołęgłym masywie Hagengebirge, co było zwieńczeniem wieloletnich starań i zabiegów w Salzburkskim Landesverein für Höhlenkunde. Zgoda salzburszczyków na działalność w Hagengebirge związana była z koniecznością wykonania dokumentacji jaskini Alvermannschacht, odkrytej i wyeksplorowanej do głębokości ok. -450 przez grupę Włochów działającą „piracko” w tym regionie. Dokumentację taką wykonaliśmy w latach 2002–2003. Niestety, obiecujące perspektywy dalszej eksploracji w tej jaskini szybko zostały zweryfikowane przez rzeczywistość. Zaledwie kilkanaście metrów dalej niż dotarli Włosi jaskinia definitywnie zakończyła się syfonem. W tej sytuacji musieliśmy skupić się na nowych jaskiniach, odkrywanych przez nas podczas tzw. „eksploracji powierzchniowej”, czyli dokładnej penetracji terenu.

Masyw Hagengebirge to rozległy płaskowyż leżący na wysokości ok. 2000 m n.p.m., ograniczony stromymi ścianami opadającymi do dolin, których dno leży 1,5 tysiąca metrów niżej. W jego południowej i środkowej części znane są od lat dwa duże systemy jaskiniowe: Jägerbrunntröghöhle

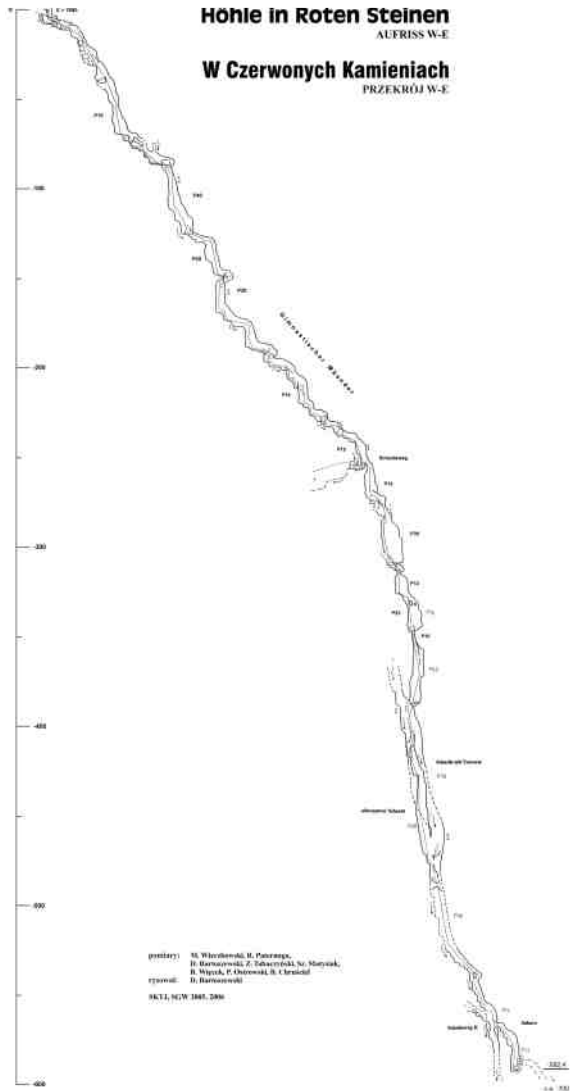


(1078 m głębokości, 28 km długości), wyeksplorowany w większości przez Polaków) i Tantalhöhle (435 m głębokości, 33 km długości). Różnice wysokości pomiędzy największymi wzniesieniami (Kahlersberg – 2350 m n.p.m.) i leżącymi na północy wywierzyskami dają szansę na odkrycie jaskini o głębokości do ok. 1500 m, w praktyce zapewne można spodziewać się systemu nieco płytszego – rzędu 1100–1200 m, o ile oczywiście geologia na to pozwoli, bo jak pokazuje praktyka lubi tu ona płatać figle.

Największym i najlepiej rokującym obiektem odkrytym (czy też odkrytym ponownie) w czasie pierwszej wyprawy była jaskinia Kasztanowa. Obszerny otwór położony w charakterystycznym miejscu znany był już wcześniej, jednak wcześniejsi eksploratorzy (spity w ścianach wstępnej części) najwyraźniej przeoczyli dość oczywiste przejście do dalszych partii. Silny przewiew dawał nadzieję na dotarcie tędy do wnętrza masywu. Początkowo wydawało się, że wszystko idzie w dobrym kierunku. System obszernych,

choć płytkich studni, sal i meandrów sprowadzał coraz dalej, przy całym czasie wyczuwalnym przewiewie. Jednak warunki geologiczne, których kaprysy zauważyliśmy już w Alvermannie, dały o sobie znać ponownie. Stare, obszerne i bogate w nacieki piętro zamieniło się w labirynt młodych korytarzyków zakończonych nieoczekiwanie serią syfonów na głębokości zaledwie -270 m (100 m wyżej niż w Alvermannie). Silny przewiew zaś w pewnym miejscu „rozpłynął się w powietrzu” i na nic zdały się kilkuletnie próby znalezienia obejścia, którego istnienie sugerował. W końcowym Syfonie Naszych Dzieci w roku 2004 przeprowadziliśmy nurkowanie, które zakończyło się negatywnie w szczelinie nie do przejścia. Ogólnie jaskinia osiągnęła długość około półtora kilometra.

Impas powstały po „zakończeniu się” największej i najciekawszej z odkrytych jaskiń przełamało dopiero odkrycie w roku 2005 jaskini W Czerwonych Kamieniach. Niewielki otwór, leżący na wysokości ok. 1880 m n.p.m., doprowadził do serii studni o coraz większych rozmiarach. Cały czas wyczuwalny był wyraźny przewiew w kierunku odwrotnym niż w Kasztanowej, czyli w stronę otworu. W warunkach letnich sugeruje to, że jaskinia jest dolnym, czy też jednym z niżej leżących otworów systemu. Pomimo posuwania się coraz niżej, przewiew nie ustawał, co pozwoliło mieć nadzieję, że mamy tu do czynienia z jaskinią dużą, połączoną z obszerniejszymi partiami ciągnącymi się daleko w głąb masywu. Dość szybko pojawił się w ciągu głównym strumień wody. Na głębokości 250 m ciąg jaskini rozdzielał się, a woda uciekała początkowo ciasnowym, potem coraz obszerniejszym korytarzem w bok. Zdecydowaliśmy się kontynuować zjazdy partiami suchymi. W roku 2005 osiągnęliśmy tam głębokość ok. 350 m poniżej otworu. W roku kolejnym jechaliśmy na wyprawę z dużymi nadziejami. Jaskinia nas nie rozczarowała i kontynuowała się dalej. Dotarliśmy do kolejnego strumienia i zjeżdżając wzdłuż niego na głębokości 570 m osiągnęliśmy kolejne skrzyżowanie ciągów. Niestety, pomimo dobrych perspektyw w jaskini hamulec okazała się kiepska pogoda. Kilkutygodniowe niemal nieustające opady deszczu podtapiające jaskinię ograniczyły czas eksploracji i zmusiły do poruszania się dalej suchym, mniej obszernym



ciągiem, gdzie na jednej z ostatnich akcji udało się dotrzeć tam na głębokość ok. 700 m (pomiary wykonaliśmy do -592).

W ten sposób zakończyliśmy działalność w roku 2006. Jaskinia kontynuuje się dalej. Szczególnie interesujący jest ciąg z wodą, na poziomie -600, którym nie zjeżdżaliśmy. W partiach suchych też nie zakończyliśmy prac, a korytarze kontynuują się. Kolejny rok zapowiada się ciekawie, miejmy nadzieję, że i tym razem Czerwone Kamienie nas nie zawiodą.

Kierownikiem wszystkich wypraw w Hagengebirge był Marek Wierzbowski, w wyprawach udział wzięło łącznie ok. 40 osób, głównie z Sopotkiego Klubu Taternictwa Jaskiniowego i Sekcji Grotołazów Wrocław, a także Speleoklubu Warszawskiego, Speleoklubu Częstochowa i innych.

## Rywalizacja na panelu

Rafał Nowak

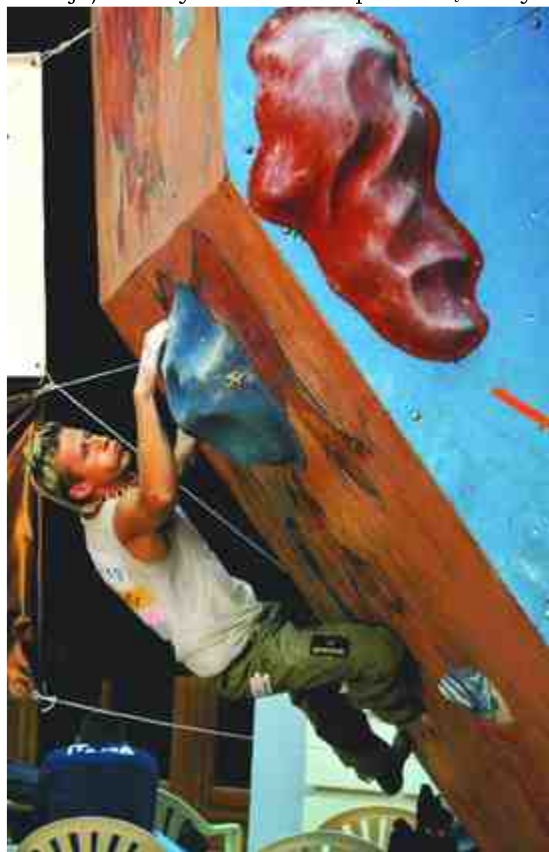
### Puchar Świata 2006 podsumowanie

Puchar Świata we wspinaczce sportowej w sezonie 2006 dobiegł końca. Na przestrzeni ostatnich 16 lat, od kiedy organizowane są cykliczne imprezy pucharowe, wspinaczkowy Puchar Świata bardzo się zmienił. W pierwszym sezonie wspinacze sportowi rywalizowali jedynie w konkurencji prowadzenia (na trudność), a w roku 1991 cykl liczył tylko 6 edycji. Dwa lata później pierwszy raz rozegrano cykl zawodów Pucharu Świata we wspinaniu na czas, a od sezonu 1997 odbywają się także zawody Pucharu Świata w bulderingu. Sezon 2006 pod wieloma względami był rekordowy. Najlepsi wspinacze sportowi świata spotykali się w sumie kilkanaście razy. 4 edycje zawodów pucharowych rozegrano w Azji, pozostałe starty miały miejsce na Starym Kontynencie. W ramach poszczególnych imprez rywalizowano z reguły w jednej konkurencji. Zdarzały się jednak zawody, w których łączono prowadzenie z czasówkami (5 startów) i czasówki z bulderami (2 imprezy). W sumie odbyło się aż dziesięć edycji zawodów pucharowych w konkurencji prowadzenia, osiem edycji na czas, a na bulderowy puchar złożyło się siedem startów.

### Prowadzenie

Podsumowanie sezonu 2006 warto rozpocząć od najstarszej konkurencji, czyli zawodów w prowadzeniu. W poprzednim numerze omówione zostały trzy pierwsze edycje pucharu i były to, jak się okazało, jedyne trzy starty z udziałem reprezentantów Polski. Kolejne siedem imprez zadecydowało, że wśród pań po triumf w klasyfikacji generalnej sięgnęła Angela Eiter. W całym pucharze 2006 Austriaczka zwyciężyła aż w siedmiu startach, na dodatek tylko raz będąc poza podium. Z bezkonkurencyjną zawodniczką z tyrolskiego Imstu próbowała nawiązać walkę jedynie Francuzka Sandrine Levet (2 zwycięstwa), która zajęła ostatecznie drugą lokatę. Trzeci stopień podium przypadł w udziale Francuzce Caroline Ciavaldini. Wśród panów w konkurencji prowadzenia nie było tak zdecydowanego lidera, a różnice punktowe przez cały sezon były na tyle małe, że ostateczna kolejność na szczycie tabeli do końca była wielką niewiadomą. Ostatecznie

triumfował Hiszpan Patxi Usobiaga, który w sezonie zanotował tylko jedno zwycięstwo w zawodach, ale aż 6 razy meldował się na podium. Drugie miejsce w klasyfikacji generalnej przypadło w udziale 16-letniemu Austriakowi Davidowi Lamie, który debiutował w zawodach pucharowych. David zwyciężył łącznie w trzech edycjach zawodów (w tym w dwóch ostatnich), a na jego wynikach w największym stopniu zaważyła absencja na trzech zawodach azjatyckiego tournée (Chiny, Singapur, Malezja). Młody Austriak wspiął się w tym



Tomasz Oleksy był trzeci w bulderingu w Moskwie

Fot. A. Celiszew

czasie w Yosemite... Na trzecim stopniu podium sklasyfikowano ex aequo dwóch zawodników. Czech Tomas Mrazek oraz Włoch Flavio Crespi zgromadzili na koniec rywalizacji dokładnie taką samą liczbę punktów.

W klasyfikacji generalnej prowadzenia sklasyfikowano dwie Polki. Kinga Ociepka (KS

Korona Kraków) dzięki startom w Puurs (Belgia), Dreźnie (Niemcy) i Chamonix (Francja), gdzie zajmowała odpowiednio 21, 26 i 15 miejsce, zajęła ostatecznie w PŚ 40 lokatę (37 punktów). Agata Wiśniewska (KW Toruń) także startowała trzy razy i dzięki punktom z Puurs (27 miejsce) i Chamonix (24 lokata) została sklasyfikowana na pozycji 64 (11 punktów). Jedynym Polakiem, który w sezonie 2006 punktował w Pucharze Świata w prowadzeniu był Marcin Wszolek (CW Reni-Sport Kraków). Lokaty tuż za półfinałem w Puurs (27 pozycja) i Dreźnie (29 pozycja) sprawiły, że krakowianin zajął na koniec sezonu 78 miejsce (6 punktów).

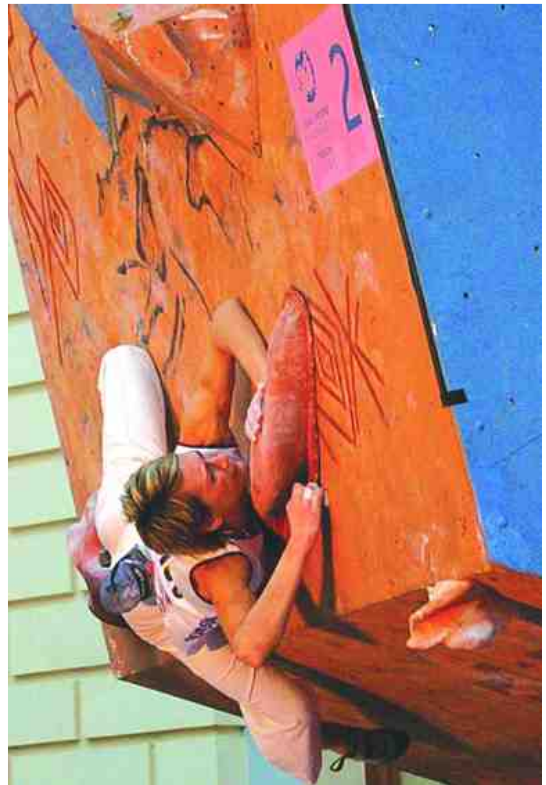
## Na czas

Dominacja Rosjan w tej konkurencji przybrała w sezonie 2006 totalny charakter. W klasyfikacji generalnej Pucharu Świata na czas całe podium padło łupem Rosjanek i Rosjan, a na najwyższym stopniu stanęli Tatiana Ruiga i Jewgienij Wajczechowski. Reprezentanci Polski startowali łącznie w sześciu spośród ośmiu edycji zawodów. Absencja na dwóch spośród trzech azjatyckich edycji (Singapur, Malezja), z pewnością wpłynęła na ich lokaty. Edyta Ropek i Tomasz Oleksy (oboje MKS Tarnovia) zajęli ostatecznie, odpowiednio piąte i czwarte miejsca w klasyfikacji generalnej. W kategorii znaczącej ciekawostki należy odnotować pojawienie się wysoko w klasyfikacji generalnej czasówek reprezentantów Wenezueli. Do rangi sensacji urasta zwycięstwo Manuela Escobara podczas zawodów Pucharu Świata w... Moskwie. Dodać należy, że w pierwszej dziesiątce tych zawodów znalazło się aż siedmiu Rosjan.

Podsumowując starty Polaków w konkurencji na czas trzeba podkreślić szansę na podium, jaka realnie rysowała się przed tarnowianami. Edyta w pięciu startach zawsze awansowała do ósemki, gromadząc ostatecznie 232 punkty, zajęła piąte miejsce. Tomek startował sześć razy, dwukrotnie wchodząc do półfinałów, jednak dwa starty zakończył też poza ósemką. Dało mu to ostatecznie czwarte miejsce i 264 punkty w klasyfikacji końcowej. Dwa starty zanotował także Łukasz Świrk. Młody wadowiczaniec zajął świetne 7 miejsce w Val Daone, a podczas drugiego startu (w Szanghaju) zajął 15 lokatę. Dało mu to w sumie 20 punktów pucharowych i 20 pozycję w klasyfikacji generalnej.

## Buldering

Rozstrzygnięcia w trzeciej konkurencji wspinaczki sportowej, a więc bulderingu zapadły ostatecznie po finałowej edycji w Moskwie. Przed zawodami ze sporą przewagą prowadził Francuz Jerome Meyer. Choć drugi w klasyfikacji generalnej Austriak Kilian Fischhuber zwyciężył w Moskwie, to przyzwoita postawa Francuza zagwarantowała mu triumf na koniec sezonu. Francusko-austriacki pojedynek na szczycie wygrał Meyer, a pomiędzy Fischhuberem i trzecim w klasyfikacji Gerome Pouvreau było ponad 180 punktów różnicy. Wśród pań na początku sezonu okazało się, że dwukrotna zdobywczyni Pucharu w bulderingu, Francuzka Sandrine Levet, przeniosła swoje zainteresowania na wspinanie z liną. Z takiego obrotu spraw najbardziej zadowolona była wiecznie druga Olga Bibik. Pod nieobecność Francuzki Rosjanka w końcu zdobyła swój upragniony Puchar Świata, choć nieobecność Levet zachęciła także inne zawodniczki, spośród



Zdobywczyni PŚ w bulderingu Olga Bibik

Fot. A. Celiszew

których najlepiej radziły sobie Francuzka Juliette Danion (2 zwycięstwa) i drugie miejsce w klasyfikacji generalnej – oraz Austriaczka Anna Stöhr (1 zwycięstwo) 3. lokata na koniec sezonu.

Nasz kraj w konkurencji bulderowej reprezentował konsekwentnie Tomasz Oleksy. Niestety, nie był to udany sezon dla tarnowianina i dopiero w ostatnim, siódmym starcie Tomasz zajął miejsce na najniższym stopniu podium (3 miejsce w Moskwie). Odnotujmy, że było to jedyne tego typu osiągnięcie w całym sezonie startów wspinaczy sportowych w roku 2006. Poza Moskwą zawodnik „Tarnovii“ jeszcze tylko raz zmieścił się w zawężonym do 6 zawodników finale (5 lokata w Rovereto), zajmując cztery razy miejsca w drugiej dziesiątce zawodników. Ostatecznie Tomasz zgromadził 219 punktów i zajął 8 miejsce w klasyfikacji generalnej. Wśród Polek w bulderowym pucharze sklasyfikowana została Edyta Ropek. Wszystko za sprawą incydentalnego startu w bułgarskim Veliko Tarnowo. Edyta zajęła tam 21 lokatę i z 10 punktami w Pucharze zajęła 55 pozycję.

## Klasyfikacja Generalna Pucharu Świata 2006

### Prowadzenie – kobiety:

1. Angela Eiter (Austria) 845
2. Sandrine Levet (Francja) 655
3. Caroline Ciavaldini (Francja) 573
4. Kinga Ociełka (Polska) 37
6. Agata Wiśniewska (Polska) 11

### Prowadzenie – mężczyźni:

1. Patxi Usobiaga (Hiszpania) 619
2. David Lama (Austria) 548
3. Flavio Crespi (Włochy) 533
3. Tomáš Mrázek (Czechy) 533
7. Marcin Wszółek (Polska) 6

### Na czas – kobiety:

1. Tatiana Ruiga (Rosja) 560
2. Walentina Jurina (Rosja) 501
3. Anna Saulewicz (Rosja) 351
6. Edyta Ropek (Polska) 232

### Na czas - mężczyźni:

1. Jewgienij Wajczechowskij (Rosja) 585
2. Siergiej Sinicyń (Rosja) 515
3. Aleksander Pieszczonow (Rosja) 424
5. Tomasz Oleksy (Polska) 264
20. Łukasz Świrak (Polska) 20

### Buldering - kobiety:

1. Olga Bibik (Rosja) 472
2. Juliette Danion (Francja) 409
3. Anna Stöhr (Austria) 386
5. Edyta Ropek (Polska) 10

### Buldering - mężczyźni:

1. Jérôme Meyer (Francja) 525
2. Kilian Fischhuber (Austria) 490
3. Gérome Pouvreau (Francja) 306
8. Tomasz Oleksy (Polska) 219

Pełne wyniki: [www.ifsc-climbing.org](http://www.ifsc-climbing.org)

## European Youth Cup – starty Polaków

Juniorski sezon 2006 miał swoją imprezę docelową w postaci Mistrzostw Świata rozegranych w dniach 24-27 sierpnia w austriackim Imst (piszemy o tych zawodach w poprzednim numerze). Poza tym młodzi wspinacze rywalizowali w cyklu zawodów European Youth Cup. W 2006 roku było to 6 imprez, w tym zawody w Gdańsku (22-23 lipca). Przed gdańską imprezą reprezentanci Polski startowali jeszcze w zawodach w Imst (27-28 maja). W drugiej części sezonu rozegrano jeszcze trzy edycje zawodów EYC. W dniach 7-8 października w Bułgarii (Veliko Tarnovo) wystartowała czwórka Polaków. W konkurencji na czas świetnie spisał się Jędrzej Komosiński (KW Baltica), który zwyciężył w rywalizacji młodzieżowców (Junior). Na podium w grupie wiekowej juniorów młodszych (Youth B) stanął także Mateusz Puzoń. Zawodnik klubu UKS Skarpa Lublin zajął trzecie miejsce. Pozostała dwójka startowała w konkurencji prowadzenia. Wśród juniorów młodszych (Youth B) swój wynik z Gdańska powtórzył Mateusz Baran. Zawodnik KW Nowy Sącz zajął 9 miejsce.



Puchar Europy Juniorów w Gdańsku.

Fot. S. Ejsymont



Czasówka dziewcząt w Gdańsku.

Fot. S. Ejsymont

16-ta wśród junierek (Youth A) była natomiast Marta Lenartowicz (KS Korona Kraków). Młodych reprezentantów Polski zabrakło na zawodach EYC w Annecy (Francja) rozegranych w dniach 28-29 października. Natomiast na ostatniej imprezie EYC w słoweńskim Kranju (25-26 listopada) reprezentacja Polski składała się z trójki zawodników. Wszyscy rywalizowali w grupie juniorów młod-

szych (Youth B). Mateusz Baran zajął 14 miejsce. Na 18 pozycji start zakończył Kamil Ferenc (KS Korona Kraków), oczko niżej uplasował się Wojciech Makowski (KW Baltica). Dzięki punktom zdobytym głównie w Gdańsku, kilkunastu młodych reprezentantów Polski zostało sklasyfikowanych w połowie trzeciej i na początku czwartej dziesiątki Pucharu Europy Juniorów 2006. Najwyżej rywalizację w EYC zakończył Mateusz Baran. 98 punktów pucharowych, zdobytych za dwa dziewiąte miejsca (Gdańsk i Veliko Tarnovo) oraz za 14 pozycję w Kranju, dało mu ostatecznie 16 miej-

sce w klasyfikacji generalnej prowadzenia w grupie juniorów młodszych. Niestety, punktacja EYC w ubiegłym sezonie objęła jedynie konkurencję prowadzenia. Czasówki, z racji rozgrywania tej dyscypliny jedynie w Gdańsku i Veliko Tarnovo nie zostały wliczone do pucharu. Warto jednak odnotować i docenić trzy polskie zwycięstwa w tej konkurencji.



Arena Pucharu Europy na Długim Targu.

Fot. S. Ejsymont



Zmagania juniorów w Gdańsku.

Fot. S. Ejsymont

W Gdańsku zwyciężali Rafał Muda i Mateusz Puzoń (oba UKS Skarpa Lublin), a w Veliko Tarnovo Jędrzej Komosiński (KW Baltica).

masz Oleksy (oboje MKS Tarnovia), a wygrane w Toruniu pozwoliły im także sięgnąć po zwycięstwo w klasyfikacji łącznej bulderowego Pucharu Polski. Edyta miała nieco ułatwione zadanie, gdyż w Toruniu zabrakło Mistrzyni Polski i liderki rankingu Kingi Ociepki. Natomiast Tomasz musiał stoczyć bezpośredni pojedynek o zwycięstwo z Marcinem Wszółkiem, z którym przed finałową edycją dzielił ex aequo pierwszą lokatę w klasyfikacji generalnej pucharu. Dużą niespodzianką sprawił reprezentant gospodarzy Tomek Grajpel zajmując drugie miejsce.

## Zawody krajowe – jesień 2006

### II edycja Puchar Polski Seniorów Andrychów 14-15.10

W dniach 14-15 października na ścianie w hali Gimnazjum nr 1 w Andrychowie rozegrano drugą edycję Pucharu Polski Seniorów w konkurencjach prowadzenia i na czas. W konkurencji prowadzenia kolejny raz pewnie zwyciężyła Kinga Ociepka (KS Korona Kraków) – jako jedyna skończyła drogę finałową. W czasówkach klasą dla siebie znów była Edyta Ropek (MKS Tarnovia). Wśród panów w konkurencji prowadzenia emocjonującą walkę o pierwsze miejsce stoczyli Tomek Oleksy (MKS Tarnovia) i Marcin Wszółek (CW Reni-Sport Kraków). Do wyłonienia zwycięzcy potrzebne było rozegranie superfinału, w którym Marcin skończył drogę i zwyciężył. W konkurencji na czas Tomasz zrekompensował sobie niepowodzenie w prowadzeniu i po zaciętej walce pokonał Łukasza Świrka.

### Finał Puchar Polski w bulderingu

#### Toruń CW Gato 28-29.10.2006

Finał bulderowego Pucharu Polski rozegrano w dniach 28-29 października 2006 w Toruniu. Na panelach Centrum Wspinaczkowego „Gato” zwyciężali Edyta Ropek i To-

### Finał Puchar Polski Juniorów Kraków KS Korona 2-3.10.2006

W pierwszy weekend grudnia, w historycznej hali krakowskiej „Korony” rozegrano finałową edycję zawodów Puchar Polski Juniorów. Pierwsze od pięciu lat zawody na „Koronie” miały bardzo ciekawy przebieg, a godnym odnotowania pozostaje fakt, że młodzi zawodnicy „Korony”, ani razu nie stawali na najwyższym stopniu podium podczas zawodów na swoim obiekcie. W czasówkach prawdziwymi hegemonami okazali się młodzi wspinacze z UKS „Skarpa”, którzy zwyciężali w pięciu spośród sześciu kategorii wiekowych.



Puchar PPJ w Krakowie. Podium junierek młodszych na czas.

Fot. K. Walasek

## Zwycięzcy zawodów na „Koronie”

Prowadzenie: Młodzieżowcy (do 19 lat): Monika Piasecka (KW Nowy Sącz), Piotr Bunsch (CW Reni-Sport Kraków); Juniorzy (do 17 lat): Paulina Guz (UKS Skarpa Lublin), Maciej Kalita (MKS Tarnovia Tarnów);

Juniorzy Młodszy (do 15 lat): Agnieszka Szepielak (MKS Pałac Młodzieży Tarnów), Mateusz Baran (KW Nowy Sącz);

Na czas: Młodzieżowcy (do 19 lat): Monika Prokopiuk (UKS Skarpa Lublin), Jędrzej Komosiński (KW Baltica Gdynia); Juniorzy (do 17 lat): Katarzyna Mirosław (UKS Skarpa Lublin), Błażej Kozłowski (UKS Skarpa Lublin);

Juniorzy Młodszy (do 15 lat): Małgorzata Rudzińska (UKS Skarpa Lublin), Mateusz Puzoń (UKS Skarpa Lublin).

## Mistrzostwa Polski Seniorów Wrocław CW „Eiger” 16-17 12.2006,

W dniach 16-17 grudnia na ścianie centrum wspinaczkowego „Eiger” we Wrocławiu rywalizowano o tytuły Mistrzów Polski we wspinaniu z liną (prowadzenie i czasówki). Zawody we Wrocławiu były równocześnie finałową edycją zmagania o Puchar Polski 2006. Zawody, szczególnie w męskich konkurencjach miały bardzo ciekawy przebieg i przyniosły niespodziewane rozstrzygnięcia. Mistrzami Polski w prowadzeniu zostali krakowianie: Kinga Ociepka (KS Korona Kraków) i Andrzej Mecherzyński-Wiktor (KW Baltica), w czasówkach zwyciężali tarnowianka Edyta Ropek (MKS Tarnovia) i wadowiczanie Łukasz Świr. Dla Kingi tytuł wywalczony we Wrocławiu to piąty kolejny w karierze. Drugie miejsce zajęła Agata Wiśniewska (KW Toruń), a trzeci stopień przypadł Edycie Ropek (MKS Tarnovia). O ile kolejność na podium w kobiecej konkurencji prowadzenia pozostaje niezmienna od kilku startów, to męski finał przyniósł prawdziwą niespodziankę. Zwyciężył nieobliczalny Andrzej Mecherzyński-Wiktor, dystansując Tomka Oleksego (sędziowie zatrzymali tarnowianina za ominięcie wpinki) i bezkonkurencyjnego w półfinale Marcina Wszółka (CW Reni-Sport Kraków). Finały kobiet w konkurencji na czas także dostarczyły publiczności sporych emocji. Co prawda hegemonia Edyty Ropek kolejny raz nie została zagrożona, ale za jej plecami działo się sporo ciekawego i tytuł wicemistrzyni wywalczyła zawodniczka lubelskiej „Skarpy” Monika Prokopiuk. Edyta zdobyła swój szósty kolejny tytuł

i wyśrubowała rekord krajowych startów bez porażki do... 18.

W finale męskich czasówek spotkali się: najlepszy po eliminacjach Łukasz Świr i niekwestionowany mistrz w tej konkurencji Tomasz Oleksy. Po fantastycznej walce zwyciężył Łukasz, pokonując Tomka aż w trzech biegach (drugi bieg powtórzone, po stwierdzeniu fałstarcu).

Impreza we Wrocławiu zadecydowała także o ostatecznych rozstrzygnięciach w Pucharze Polski 2006. W konkurencji prowadzenia zwyciężyli Kinga Ociepka oraz Rafał Porebski. W czasówkach puchary trafiły w ręce Edyty Ropek i Łukasza Świra.

## Puchar Polski Seniorów 2006 klasyfikacja generalna

### Kobiety:

#### Prowadzenie

1. Kinga Ociepka 300
2. Agata Wiśniewska 240
3. Edyta Ropek 171

#### Na czas:

1. Edyta Ropek 300
2. Monika Prokopiuk 225
2. Agnieszka Miciuła 142

#### Buldering:

1. Edyta Ropek 260
2. Kinga Ociepka 200
3. Aleksandra Przybysz 157

### Mężczyźni:

#### Prowadzenie:

1. Rafał Porebski 202
2. Marcin Wszółek 196
3. Andrzej Mecherzyński-Wiktor 177

#### Na czas:

1. Łukasz Świr 260
2. Jakub Jodłowski 216
3. Tomasz Oleksy 180

#### Buldering:

1. Tomasz Oleksy 280
2. Marcin Wszółek 235
3. Tomasz Wojciechowski 122

Pełne wyniki:

[www.pza.org.pl/kws/zawody.acs](http://www.pza.org.pl/kws/zawody.acs)

## Puchar Świata w Pirenejach

### Andrzej Bargiel na wysokiej pozycji.

7 stycznia na pierwszej edycji Pucharu Świata w Les Angles w Pirenejach Magdalena Derezińska zajęła 12. miejsce w kategorii senierek. Zwyciężyły Włoszki Roberta Pedranzini przed Glorianą Pellissier.



Magda Derezińska  
Fot. T. Król

Na odbywającej się równoległe pierwszej edycji Pucharu Europy dla kat. młodzieżowych Andrzej Bargiel zajął 6. miejsce w kategorii juniorów. Wygrał Hiszpan Kilian Jornet przed Włochem Michaeliem Molingiem.

Już podczas pierwszego podejścia uformowała się sześciuosobowa czołówka, która narzuciła tempo całym zawodom (w jej wnętrzu następowały różnego rodzaju rotacje). Zawodnicy musieli zdobyć m.in. najwyższy wierzchołek Bieszczadów – Tarnicę (1346 m), Kope Bukowską (1119 m) oraz Obnogę (1080 m). W sumie było 5 podejść i 5 zjazdów. Łączna suma przewyższeń wynosiła ok. 2160 m, a długość trasy – niecałe 25 km. Parametry tej trasy spowodowały, że należy ją zaliczyć do długich i wytrzymałościowych, a jedynie kilku zawodników pokonało ją w niecałe 3 godziny. W kategorii senierek zwyciężyła Justyna Żyszowska (Tatra Team) przed



Na trasie Pucharu Połonin 2007.

Fot. J. Bilski

## Puchar Połonin 2007

W dniach 16–17 lutego odbyła się pierwsza edycja Pucharu Polski 2007 w narciarstwie wysokogórskim – Puchar Połonin, organizowany przez Rzeszowski KW. Tegoroczne zawody o Puchar Połonin odbyły się w pięknej scenarii. Kilka stopni poniżej zera, rozlewający się nad Polską, Słowacją i Ukrainą wielki błękit nieba, oraz wszechogarniające słońce sprawiły, że udział w tych zawodach był czystą przyjemnością obfitującą w bogate doznania estetyczne. Ale oprócz wrażeń zmysłowych była też zacięta walka pomiędzy zawodnikami, szczególnie w kategorii seniorów.



Puchar Pilska. Start teamów męskich.

Fot. J. Bilski

Klaudją Tasz (Kandahar), w kategorii seniorów zwyciężył Szymon Zachwieja (Grupa Podhalańska GOPR) przed Jarosławem Prokopem (Kandahar), w kategorii kadetek zwyciężyła Julia Wajda (Kandahar) przed Aleksandrą Chruściel (Speleoklub Dąbrowa Górnicza).

## Mistrzostwa Polski 2007

24 lutego rozegrano w masywie Pilska Puchar Pilska, podniesiony w tym roku do rangi Mistrzostw Polski. Mistrzostwa odbyły się w kategorii teamów. Zawodnicy mieli do pokonania ponad 20 km trasę o przewyższeniu ok. 1800 m. Po starcie na Hali Miziowej o godzinie 8:30 zawodnicy wspinali się na szczyt Pilska, następnie musieli zjechać lasem na Szczawiny, skąd zakosami



Podium MP 2007.

Fot. T. Król

podchodzili na Solisko, dalej następował długi terenowy zjazd do Byka i najdłuższy trudny technicznie odcinek podejścia na Pilsko. Następnie musieli poprzez Kopiec zjechać do potoku Cebulnego i rozpocząć strome podejście z nartami na plecaku za pomocą lin poręczowych poprzez dwie skałki. Po tym najtrudniejszym technicznie odcinku pozostał tylko „trawersik” do czarnej nartostrady i nią strome podejście do mety. Zacięta walka o zwycięstwo toczyła się przez cały dystans. Dwie pierwsze pary ciągle zmieniały się na prowadzeniu co w efekcie, na długim ponad

dwugodzinnym dystansie, dało minimalną kilkudziesięciosekundową różnicę na mecie. Mistrzyniami Polski zostały Magdalena Derezińska i Aleksandra Dzik (obie KS Kandahar) przed Justyną Żyszkowską i Ewelina Zwiacz Kozicą (obie Tatra



Julia Wajda na mecie Memoriału Siemaszki.

Fot J. Bilski

Team), oraz Zofią Chruściel (Speleoklub Bielsko-Biała) i Agnieszką Solik (KS Kandahar). Mistrzami Polski zostali Szymon Zachwieja i Jacek Żyłka-Żebracki (obaj Grupa Podhalańska GOPR) przed Jarosławem Prokopem (KS Kandahar) i Mariuszem Wargockim (Tatra Team), oraz Jakiem Czechem i Adamem Gomolą (obaj KS Kandahar).

## Memoriał Siemaszki

Kolejne zawody Pucharu Polski zostały rozegrane w Karkonoszach 10 marca. Organizatorem zawodów była Szkoła Górską z Samotni. W kategorii kadetek zwyciężyła Julia Wajda (Kandahar) przed Aleksandrą Chruściel (Speleoklub Dąbrowa Górnicza). W kategorii senierek pierwsza była Klaudia Tasz przed Aleksandrą Dzik (obie Kandahar). W kategorii seniorów zwyciężył Jacek Żyłka-Żebracki (GP GOPR) przed Mariuszem Wargockim (Tatra Team). Warunki narciarskie były bardzo dobre, warunki atmosferyczne trudne – silny wiatr i mgła. Trasa liczyła około 30 km długości i około 1600 m przewyższenia.

## Pierra Menta 2007

22 edycję tych najtrudniejszych zawodów w narciarstwie wysokogórskim rozegrano w dniach 15–18 marca 2007. W konkurencji kobiet uczestniczyło tylko 12 zespołów. Zwyciężyła para włoska Francesca Martinelli i Roberta Pedranzini. Natomiast bardzo silna była obsada w konkurencji męzczyzn. Wystartowało aż 167 zespołów, z których zawody ukończyło 156. Tym bardziej należy cenić osiągnięcie jedynego Polaka, Jacek Czecha, który w parze z... Czechem, z Zaolzia, Romanem Grajcarem w klasyfikacji generalnej zajął 48 miejsce.

## Jedynka 2006

Po głosowaniu kapituły i uwzględnieniu głosu środowiska wspinaczkowego, w szóstce autorów najlepszych osiągnięć sezonu 2006 znaleźli się:

- **Piotr Morawski i Piotr Pustelnik**, za Tryptyk Himalajski: Cho Oyu (droga normalna), Annapurna Wsch. (wsch grań), Broad Peak (droga norm.) – projekt zrealizowany bez zdobycia głównej Annapurny z powodu konieczności udzielenia pomocy partnerowi z Tybetu;

- **Kinga Ociepka**, za przejście drogi *Geminis 8c* w rejonie Rodellar (Hiszpania). Kinga jest dziesiątą i najmłodszą do tej pory dziewczyną, która uporała się z drogą w tym stopniu.

- **Lukasz Miller i Rafał Porębski**, za przejście drogi *Via Italia 8a RP* na Piz Ciavazes w Dolomitach;

- **Tomasz Oleksy**, za świetne wyniki zajmowane w sezonie 2006 w zawodach Pucharu Świata w bulderingu: Arco Rock Master – 2 miejsce, Moskwa – 3 miejsce;

- **Adam i Paweł Pustelnikowie**, za poprowadzenie częściowo nowej drogi *Amba VI, 7c-c+*, 1100 m, RP, na ścianie zachodniej Ortotubka, oraz za przejścia w Yosemitech;

- **Jerzy Stefański i Jan Kuczera**, za przejście dróg: *Timofiejewa 7a A3* (6A w skali rosyjskiej) na ścianie Asana (4230m), oraz *Czarna Wołga* na pd.-zach. ścianie Kotiny (4521m), w rejonie Kara-Su, 7a OS (ta ostatnia z Arturem Magiera).



Kinga Ociepka

10 grudnia 2006 r., na zakończenie IV Krakowskiego Festiwalu Górskiego odbyło się wręczenie Jedynek – prestiżowej nagrody środowisk wspinaczkowych za najlepsze osiągnięcie roku. Laureatką nagrody po raz pierwszy została przedstawicielka wspinania sportowego – **Kinga Ociepka**.

## Złoty Czekan 2006

Konkurs Piolet d'Or był organizowany od 1990 r. wspólnym wysiłkiem Groupe de Haute Montagne, pana Guy Chaumereuil i „Montagne Magazine”, współzałożycieli nagrody, z których każdy był odpowiedzialny za jakąś konkretną „działkę”, zgodnie ze swoją specjalnością. Guy Chaumereuil spełniał rolę ogólnego doradcy, G.H.M. reprezentował fachowość w dziedzinie alpinizmu i etyki górskiej, zaś „Montagne Magazine”, z jego ludzkimi i finansowymi zasobami, zarządzał łącznością i organizacją imprezy. Po kilku latach współzarządzania, ostatnio przy wzroście wzajemnych napięć i trudności w porozumieniu, GHM zdało sobie sprawę, że, pomimo wszystkich pojednawczych umiejętności pana Guy Chaumereuil, współpraca z „Montagne Magazine”



Filar Chomolhari

stała się niemożliwa.

W związku z powyższym GHM oświadczył, że nie będzie uczestniczył w przyznaniu nagrody „Piolet d'Or” za 2006 rok. Tym samym ranga tej najbardziej prestiżowej nagrody we wspinaczce górskiej niewątpliwie spadła.

Mimo to, 26 stycznia w Grenoble odbyła się uroczystość wręczenia Złotego Czekana za osiągnięcia w 2006 roku. Zdobywcami nagrody zostali Słowenci **Marko Prezelj** i **Boris Lorenčič** za nową drogę północno-zachodnim filarem Chomolhari (7314 m), góry wznoszącej się na pograniczu Bhutanu i Tybetu. Dla Prezelja jest to już drugi Złoty Czekan w karierze.



Prezelj i Lorenčič na filarze Chomolhari

Pierwszy zdobył wraz z Andrejem Štremfeljem w 1991 r. za I przejście pd. filara Kangchendzöngi Południowej (8476 m). W skład Jury w tym roku weszli: Jurij Koszelenko (Rosja), Steve House i Vince Anderson (USA), Michel Piola (Szwajcaria), Christian Trommsdorff (Francja), Im Duck Yong (Korea, dziennikarz, fundator azjatyckiego Piolet d'Or), Vinicio Stefanello (Włochy, dziennikarz planetmountain.com), przedstawiciel „Montagnes Magazine”.

Poza Prezeljem i Lorenčičem do nagrody nominowani byli jeszcze:

- Ian Parnell i Tim Emmett za nową drogę pd.-wsch. filarem Kedarnath Dome,
- Igor Czaplinski, Andriej Rodioncew i Orest Werbicki za północną grań Singu Charpa,
- Pavle Kozjek za poprowadzoną solo nową drogę na Cho Oyu,
- Denis Urubko i Siergiej Samojłow za nową drogę na Manaslu.

## Azjatycki Złoty Czekan

W dniach od 8 do 11 listopada w Seulu odbył się z wielką pompą Festiwal Złoty Czekan Azji – Piolet d'Or Asia, zorganizowany przez koreański magazyn alpinistyczny „Człowiek i Góry” oraz francuski „Montagnes Magazine” i firmę Grivel. Nie było zaskoczeniem, że laureatami zostali dwaj wybitni alpiniści kazachscy, **Denis Urubko** i **Siergiej Samojłow** z Ałma Aty za przejście w dniach 4-9 maja w stylu alpejskim nowej wielkiej i trudnej drogi na północno-wschodniej ścianie Manaslu (8163 m).

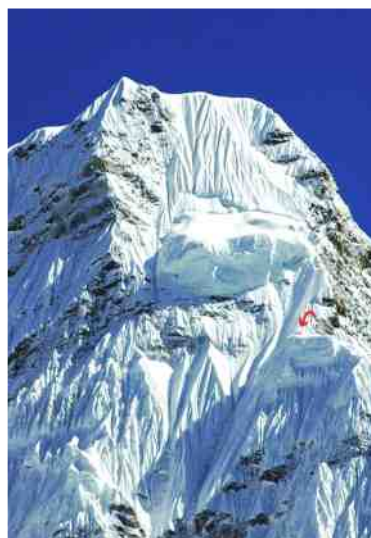
W składzie Jury znaleźli się m.in. Jurij Babanow oraz znany japoński dziennikarz, długoletni redaktor „Iwa to Yuki”, Tsunemichi Ikeda. Były jeszcze dwie nominacje do nagrody, warte wymienienia, jako mało znane dokonania roku 2006: Japończycy Katsutaka Yokoyama i Fumitaka Ichimura za nową drogę na Broken Tooth na Alasce (1000 m, trudności 5-5.9, W14+, M6) oraz Koreańczycy Gu Eun Su i Yu Sang Beom za nową trudną i samodzielną drogę północną ścianą Thalay Sagar (6904 m) w Himalajach Garhwalu. Festiwal rozpoczęło zbiorowe wejście gości na najwyższy szczyt Korei Południowej, Paektusan (2744 m), zakończył uroczysty bankiet wydany dla 500 biesiadników.

## Wypadki w Nepalu i Chinach

Dwunastu alpinistów zginęło w końcowym okresie jesiennego sezonu w Nepalu i górach Chin. Pechowymi górami okazały się Ama Dablam (6828 m), Paldor (5928 m, Ganesh Himal) oraz Genyen Peak (6204 m), w górach Chińsko-Tybetańskich.

### Tragedia na Ama Dablam

15 listopada nadeszła wiadomość o tragicznym wypadku na Ama Dablam. Na obóz III zeszła lawina, która uśmierciła 6 ludzi: 3 Szwajców, Anglika Duncana Williama (32) i Szwedów Daniela Carlssona (27) i Mikaela Forsberga (41). Bliższe szczegóły nie są na razie znane. Na temat tego zdarzenia wypowiedział się w światowych witrynach Artur Hajzer, który sam niedawno korzystał z feralnej „trójki”. Stwierdził on m.in., że jego wyprawie miejsce obozu III nie wydawało się bezpieczne: wisiał nad nim ogromny wybrzuszony serak, którego zawalenie się było kwestią czasu. Namioty można było wprawdzie rozbić wyżej, 100 m dalej na prawo, ale wyprawy wybierały niższe miejsce, uspokajane jego wieloletnim bezawaryjnym użytkowaniem. Obryw seraka nastąpił o godz. 4.15 rano – zatrząsa się cała góra. W ciągu 20 minut, po pierwszej zeszły dwie następne lawiny. Cała lodowa rampa z obozem III przestała istnieć, a biała blizna po niej jest widoczna nawet z dużej odległości. Zwiady helikopterowe nie naprowadziły na szczątki ofiar, wypatrzone tylko elementy ubrania i ekwipunku.



Miejsce wypadku na Ama Dablam

## Czwórka Francuzów zginęła na Paldor Peak

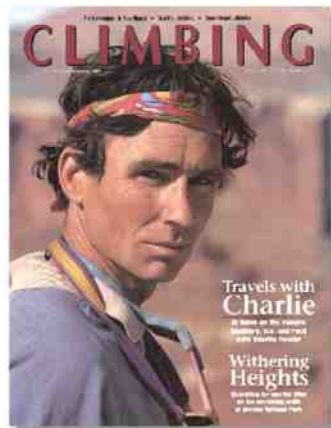
Nieco wcześniej, inna tragedia rozegrała się w rejonie Ganesh Himal. Zginęła czwórka doświadczonych alpinistów francuskich: Stefan Ciešlar, Jean-Baptiste Moreau, Raphaël Perrissin i Vincent Villedieu. Tragedia ma też wątek polski: Stefan Ciešlar, przewodnik górski z Saint-Martin-d'Herès, był z pochodzenia Polakiem i jako alpinista wychowankiem naszych Tatr. Alpinieści mieli zamiar atakować „trekkingowy” szczyt Paldor (5928 m).

Alarm wszczęły dwie młode kobiety, które 5 listopada bezskutecznie czekały na mających zejść z gór alpinistów. Akcją nepalskich przewodników, zaimprovizowaną przez Ambasadę Francji w Katmandu, kierował Christian Trommsdorf, do którego dołączył inny wybitny alpinista francuski, Aymeric Clouet. Dotarto do bazy wyprawy, gdzie znaleziono zeszyt kroniki, w nim zaś notatkę, że alpinieści w górę wyruszyli 24 października. Z niejasnych doniesień prasowych wynika, że korzystając z odludzia zespół zmienił cel wspinaczki na szczyt o wysokości ok. 6300 m w grzbiecie granicznym, sąsiadujący z Ganesh V. Na drodze ataku znaleziono m.in. depozyt, w nim zaś śpiwór, zawierający wewnątrz paszport Stefana Ciešlara. Górny obóz stał na wysokości 5500 m – nad nim widać było ślady wielkiej lawiny, powstałej wskutek obrywu seraków. Wiele wskazuje na to, że w niej stracili życie czterej alpinieści.

## Christine Boskoff i Charlie Fowler zginęli w Chinach

Dwójka wybitnych alpinistów amerykańskich poniosła śmierć w górach Chin. Długo uważano ich za zaginionych. Poszukiwania były skomplikowane, ponieważ dwójka nie zostawiła szczegółowych planów wyprawy i ratownicy początkowo nie wiedzieli nawet, w której prowincji południowo-wschodnich Chin należy wszcząć poszukiwania. Pierwsza wskazówka co do ich miejsca pobytu pojawiła się, gdy odnalazł się kierowca, który 11 listopada wysadzał Ch. Boskoff i Ch. Fowlera nieopodal Genyen Peak (6204 m), najwyższego szczytu pasma Shalulishan w górach Chińsko-Tybetańskich. Amerykanie umówili się z nim na transport powrotny po zdobyciu szczytu. Miało to nastąpić 24 listopada – kierowca czekał, ale dwójka nie pojawiła się. Częściowo przysypane ciało Charlie Fowlera zostało wkrótce odnalezione na wysokości około 5300 m. Po Christine Boskoff wszelki ślad zginął. Nieznane są dokładne przyczyny wypadku, ale wszystko wskazuje na lawinę.

Christine Boskoff miała na swoim koncie wejście na 6 ośmiotysięczników, w tym na Everest. W rodzinnym Seattle prowadziła agencję turystyczną „Mountain Madness”. 35-letni Charlie Fowler był zawodowym fotografem, filmowcem i pisarzem, autorem wielu nowych dróg skalnych i lodowych w Andach, Himalajach, górach Ameryki Północnej, oraz wybitnym znawcą gór chińskich. Spośród ośmiotysięczników wszedł na Cho Oyu, Shisha Pangmę i Everest.



Charlie Fowler na okładce „Climbing”

## Szpiedzy z linami – górskie echa zimnej wojny

Niektórzy z nas zapewne pamiętają aferę związaną z amerykańską wyprawą na Nanda Devi, która pod pozorem wspinania się miała tajne zadanie ustawienia na szczycie urządzenia do monitorowania chińskich prób nuklearnych na pustkowiach Tybetu. W dniu 11 października 2005 w Himalayan Club w Delhi mówił o tym zasłużony alpinista indyjski, kpt. Mohan S. Kohli, który kierował indyjsko-amerykańskimi wyprawami wykonującymi te właśnie potajemne misje. Ich celami zrazu miały być Everest i Kangchendzönga, aparatura okazała się jednak zbyt ciężka, jak na trudności obu tych gór. Wybór padł więc na Nanda Devi. W 1965 r. super-tajna grupa wspinaczy (jej hinduskich członków szkolono na Alasce) wytaszczyła 4 części urządzenia w pobliże szczytu Nanda Devi. Tu zaskoczyła ich zawierucha. Zmuszeni do ucieczki w dół, elementy odbiornika ukryli w jamie śnieżnej i przypięli linami. Gdy wrócili – urządzenia nie było, nie znalazły go też kolejni, finansowane przez CIA wyprawy poszukiwawcze. Przyjęto, że cały bagaż strąciła duża lawina. W latach 1966-68 misje instalacyjne po-

wtórzone z powodzeniem, także na pogranicznej Nanda Kot (6830 m) i – jak mówi kpt. Kohli – „paru innych szczytach”. Wokół zaginionego odbiornika wybuchła afera. Jego generator był napędzany 7 bateriami z plutonem 238. Powstała obawa, że w razie wydostania się paliwa, mogą ulec nuklearnemu skażeniu wody Gangesu – szeptano o możliwości milionów ofiar. Władze zamknęły na 10 lat cały masyw Nanda Devi, Amerykanie uspokajali: dozy substancji są niewielkie, a baterie zabezpieczone na lat sto lub więcej. Niemniej jednak sprawa wraca przy różnych okazjach. Kpt. Kohli wyjawiał swoje sensacje w napisanej wspólnie z Kennethem Conboyem książce „Spies in the Himalaya. Secret Mission and Perilous Climbs” (2002). Wypowiedziało się też dwóch czy trzech innych uczestników. Najświeższy „Himalayan Journal” przynosi recenzję wydanej ostatnio książki kapitana Kohli – jego autobiografii „One More Step” (2005), w której utrzymuje, że nie wiedział do końca, w jakiej grze uczestniczy. Cała operacja wciąż osnuta jest mgłą tajemnicy, nie znamy nazwisk większości alpinistów, dat wejść na szczyty ani dat demontażu w służonych receiverów.

*Józef Nyka*

\*\*\*

Sprawa znów wróciła szerokim echem, tym razem z okazji opublikowanej na ten temat przez Pete Tekadę książki pt. „An Eye at the Top of the World: The Terrifying Legacy of the Cold War's Most Daring C.I.A. Operation” (Thunder's Mouth Press, 2006) a także artykułu tego samego autora „The Secret of Nanda Devi” na łamach „Rock & Ice” nr 156 ze stycznia 2007 r. W ramach pracy nad książką (3 lata) autor odbył z trójką towarzyszy w 2005 r. podróż pod Nanda Devi, o mało nie zakończoną tragicznie w wypadku lawinowym pod Nanda Kot. Z artykułu można się dowiedzieć, że w operacji szpiegowskiej sprzed 40 lat brali udział znani amerykańscy wspinacze, jak Tom Frost (stałe nie chce się wypowiadać na ten temat), Lute Jerstad (zmarł w 1988 r. na atak serca w czasie trekkingu w Nepalu), Jim McCarthy i Robert Schaller. Ten ostatni, z zawodu chirurg-pediatra, wspomina, że w rok po zagubieniu odbiornika wszedł samotnie na Nanda Devi, ale całą dokumentację z tego wejścia (zdjęcia i zapiski) skonfiskowała mu CIA. Tak jak trzech pozostałych zwerbowanych przez CIA wspinaczy, Schaller został wyróżniony przez Agencję medalem. Ubocznym efektem udziału w całej akcji był w jego przypadku także rozpad rodziny. Jim McCarthy, były prezydent AAC i prawnik z Manhattanu, który jako jedyny ze wspinaczy miał bezpośrednią styczność z radioaktywnym plutonem, w 1971 r. zachorował na raka jądra. Wyleczył się, ale uważa, że choroba była skutkiem napromieniowania. Ten sam problem może dotyczyć także niosących trefny ładunek Szerpów, nie mających oczywiście pojęcia, w czym biorą udział. Gwarantuję – mówi McCarthy – że żaden z nich już nie żyje. Choć w artykule podane są niektóre nowe szczegóły całej historii, nadal przeważają spekulacje i gęsta mgła tajemnicy – normalna przy okazji szpiegostwa – wciąż utrzymuje się wokół całej operacji.

*Władysław Janowski*

## 2170 m w Jaskini Wroniej

Najgłębszą jaskinią świata jest Jaskinia Krubera-Woronia w Kaukazie Zachodnim. W dniach od 6 do 21 stycznia działała w niej przeszło 20-osobowa międzynarodowa wyprawa, która zaatakowała końcowe syfony. 12 stycznia Oleg Klimczuk i Jurij Wasilewski przenurkowali obiecujący syfon w bocznym ciągu na głębokości 1770 m. Za 20-metrowym zalany odcinkiem ciągnie się korytarz z ciekim wodnym. 16 stycznia Oleg zanurkował w syfonie na aktualnym dnie jaskini. Przepłynął 80 m schodząc na głębokość 30 m. Do końca syfonu nie dotarł, gdyż miał tylko 2 butle. Nową głębokość Wroniej ustalono na razie na 2170 m, zapewne jest nieco większa, konieczne będą jednak bardziej szczegółowe pomiary – w tych partiach oczywiście bardzo trudne. Równocześnie w Meksyku znaleziono połączenie między dwoma wielkimi jaskiniami podwodnymi. Powstałej w ten sposób rekordziste zostawiono nazwę Sac Actun – jej długość wynosi 155 km, co łączy ją do dziesiątki najdłuższych jaskiń Globu. Drugą co do długości jaskinią podwodną świata jest położona w tym samym rejonie Sistema Ox Bel Ha (146,7 km).

*Apoloniusz Rajwa*

## Uwaga na ciężarówce w Himalajach!

Sławna włoska sportswomenka Manuela Di Centa cudem uniknęła śmierci w drodze pod Cho Oyu. Di Centa, uczestnicząca w wyprawie alpinistów z Vicenzy, znajdowała się właśnie w namiocie. W tym czasie ciężarówka innej wyprawy, zostawiona bez kierowcy, z uruchomionym silnikiem, ruszyła z miejsca zgniatając kolejne namioty. Manuełę uratował ostrzegawczy krzyk innego członka włoskiej wyprawy Stefano Fracasso – „w cywilu” burmistrza miasteczka Arzignano. Manuela Di Centa-Sioli (ur. 1963) to wielka mistrzyni biegów arciarskich, 5-krotna uczestniczka Igrzyskach Olimpijskich (Sarajewo 1984, Calgary 1988, Albertville 1992, Lillehammer 1994 i Nagano 1998). Podczas Zimowych Igrzysk Olimpijskich w Lillehammer



Manuela Di Centa — multimedalistka olimpijska

w 1994 r. zdobyła złote medale w biegu na 30 km stylem klasycznym i na 15 km stylem dowolnym, srebrne medale w biegu na 5 km stylem klasycznym i w biegu łączonym oraz brązowy medal w sztafecie 4x5 km. Podczas Igrzysk Olimpijskich w Albertville 1992 i Nagano 1998 zdobyła brązowy medal w sztafecie 4x5 km. 7-krotnie zdobywała medale mistrzostw świata.

Po wycofaniu się z wyczynowego uprawiania sportu zajęła się alpinizmem, pracą społeczną i polityką. W 2003 roku jako pierwsza Włoszka weszła na Mount Everest. Jest członkiem władz Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego i deputowaną do parlamentu włoskiego.

## K6 (7283 m) wreszcie dostępny!

Pakistańskie Ministerstwo Turystyki zakomunikowało, że w sezonie letnim 2007 zostanie udostępniony dla wypraw szczyt K6 (7282 m). Ma to związek z celebrowaniem roku 2007 jako „Visit Pakistan Year”. O pozwolenie na ten atrakcyjny szczyt ubiegało się w ostatnich latach wielu znakomitych alpinistów, m.in. Amerykanin Steve House i nasz rodak z Kanady Rafał Sławiński.

K6 nie jest szczytem dziewiczym. Pierwszego wejścia dokonali w 1970 r. Austriacy Dietmar Entlesberger, Gerhard Haberl, Eduard Koblmüller i Fred Pressl. Szli oni południową ścianą z lodowca Nangmah. Wielkim problemem jest natomiast ściana północna, wznosząca się nad lodowcem Charakusa, o wysokości ok. 2600 m. Aplikację o pozwolenie na K6 (nie sprecyzowano drogi) złożył ponownie Steve House dla małej amerykańsko-słoweńskiej ekspedycji. Można się domyślać, że jednym z jej uczestników będzie nasz dobry znajomy Marko Prezelj. Natomiast Kandyjczyk Maxime Turgeon poprosił o pozwolenie konkretnie na północną ścianę. Polscy łożancie – starać się o pozwolenie i ostrzyć raki!



Niezdobyta północna ściana K6

Fot. R. Sławiński

## Nowe przepisy w Patagonii

Jeszcze kilkanaście lat temu ruch turystyczny nie był wielkim problemem w rejonie Fitz Roy i w całym dzisiejszym Parku Narodowym Los Glaciares. Około roku 1980 rejon ten odwiedzało w sezonie 100 lub 200 gości. Ale w r. 1998 było ich już 20 000 a w roku 2005 aż 45 000. Liczby te tworzą głównie trekkerzy, spędzający w górach po kilka dni, powiększa się też rzesza wspinaczy, którzy miesiącami czekają na pogodę we wnętrzu gór. Wszystko to razem bardzo obciąża miejscowe środowisko naturalne. Dla powstrzymania degradacji koniecz-

ne są działania ochronne. I tak od września 2007 r. będzie zabronione korzystanie z koni do transportu sprzętu i żywności drogami i ścieżkami poza miasteczkiem El Chalten. Wyprawy, które w przyszłym sezonie przyjadą, muszą być przygotowane na dźwiganie ładunków na własnych plecach. Odległości i deniwelacje nie są duże, nie będzie to więc problem porównywalny np. z Himalajami. Alpinści winni też wiedzieć, że ich „schronisko” w Campo De Agostini, sklecone w r. 1987 a w 1994 mocno rozbudowane, podlega likwidacji i nie będzie budowane na nowo. Podobny los czeka obiekty w bazie Rio Blanco, które zostaną zburzone w najbliższym czasie. Park Narodowy nie będzie już dopuszczał do wznoszenia jakichkolwiek trwałych konstrukcji na swoim terenie – do biwakowania będą służyły tylko namioty. Tzw. schroniska alpinistyczne, stworzone dla wspinaczy, z czasem zaczęły też obsługiwać innych użytkowników, co prowadziło do niesnasek i wzajemnych pretensji. Poza wszystkim, były one producentami śmieci i odpadów a ich mieszkańcy – dewastatorami okolicznych terenów, szczególnie skąpych w Patagonii lasów. Kiedy te obiekty powstawały, miasteczko El Chalten jeszcze nie istniało. Dzisiaj ono winno być główną bazą wypadową, co uchroni obszar Parku od tak nieobojętnego dla przyrody bytowania w nim rzesz ludzkich. Inne regulacje parkowe będą utrzymane w mocy. Wspinacze przybywający do El Chalten muszą zarejestrować się w urzędzie Parku. Rejestracja jest wolna od opłat ale obowiązkowa. Dyrekcja Parku liczy na zrozumienie ze strony przyjezdnych i ich współpracę w dziedzinie ochrony tego unikalnego skarbu przyrody, jakim jest grupa Fitz Roy. (jn)

## Do redakcji „Taternika” nadszedł list

Szanowny Panie Redaktorze!

W załączeniu do tego krótkiego listu przesyłam widokówkę z Chile (...) Tak jak nadmieniałem na widokówce, nasz kameralny klub turystyczny, tą miniwyprawą chciał przypomnieć i uhonorować wybitnych polskich eksploratorów i zdobywców Ojos del Salado. Jeżeli jest to możliwe, prosilibyśmy o zamieszczenie krótkiej notatki na temat naszej tam działalności. Koledzy odwiedzili szczyt dokładnie miesiąc wcześniej od daty zdobycia. Mnie niestety z powodu błędów w pośpiesznej aklimatyzacji, nie udało się wejść, jak chciałem. Nie posiadam informacji, czy w celu przypomnienia tej daty, udało się na ten szczyt jakakolwiek „delegacja” z ramienia Polskiego Związku Alpinizmu. Jeżeli nie było takiej inicjatywy, tym bardziej jesteśmy szczęśliwi, że nam Polakom mieszkającym w Kanadzie, udało się nie zapomnieć o tym wybitnym polskim wejściu w 1937 roku. Załączam w imieniu naszego klubu serdeczne górskie pozdrowienia,

Andrzej Legienis, prezes Polonijnego Klubu Turystycznego „KOLIBA” w Toronto

\*\*\*

Wejście, o którym mowa w liście, oraz 70. rocznica zdobycia szczytu, zbiegły się ze wzniesieniem w Chile i Argentynie (miała już miejsce w 1956 r.) dyskusji na temat wysokości Ojos del Salado i jego miejsca wśród najwyższych szczytów obu Ameryk. Zdaniem niektórych, mierzy on 7084 m i jest wyższy od Aconcagui. Byłoby bardzo miło, gdyby okazało się, że jedyny siedmiotysięcznik zachodniej półkuli był zdobyty przez Polaków. Byłby to z kolei zawód, ale i kolejne wyzwanie dla zdobywców Korony Ziemi. Należy jednak z uznaniem tego faktu poczekać na nowe pomiary, które podobno są planowane. Przypomnijmy, że pierwszego wejścia na Ojos del Salado dokonali Jan Alfred Szczepański i Justyn Wojsznis w dniu 26 lutego 1937 r.



Nevado Ojos del Salado

## Już szkolimy w nowych specjalnościach

W lutym zakończył się proces rekrutacji do pierwszego cyklu projektu „Sportowcy na rynku pracy”. Dzięki intensywnej pracy doradców zawodowych pierwszego kontaktu, w ramach projektu zostało objętych opieką aż 40 osób wywodzących się z Polskiego Związku Alpinizmu. Ponad połowa z nich weźmie udział w kursie dającym uprawnienia instruktora rekreacji o specjalności techniki linowe w rekreacji, realizowanym w całości przez PZA. Instruktorzy rekreacji o specjalności techniki linowe będą mieli uprawnienia do pracy w parkach linowych, na imprezach integracyjnych oraz ścianach wspinaczkowych.

Szkolenie składa się z dwóch części. Część ogólna jest wspólna dla wszystkich programów kursów na stopień instruktora rekreacji, niezależnie od wybranej specjalności. Trwa ona co najmniej 60 godzin lekcyjnych, a główne zagadnienia poruszane na kursie to teoria rekreacji, biologiczne i fizjologiczne podstawy rekreacji, metodyka prowadzenia zajęć rekreacyjnych, animacja, organizacja i marketing imprez rekreacyjnych. Osoby, które zdadzą egzamin kończący część ogólną kursu otrzymują zaświadczenia o ukończeniu kursu.

Część specjalistyczna kursu, trwająca 108 godzin, rozpocznie się ona 20 kwietnia w Podlesicach. Składa się ona z trzech głównych modułów – technik linowych wykorzystywanych podczas imprez rekreacyjnych, pracy w parkach linowych oraz obsługi ścian wspinaczkowych. Po ukończeniu obu części kursu i zdaniu egzaminu, absolwentów czeka jeszcze czterodniowy staż w potencjalnych



Dr Anna Kęska bada skład ciała kursantów – zajęcia z biologicznych i fizjologicznych podstaw rekreacji.

miejscach pracy.

Nabór do projektu i kolejne szkolenia zostaną powtórzone jesienią br. Osoby bezrobotne lub zagrożone utratą pracy zapraszamy już teraz do kontaktu z doradcami zawodowymi. Ich nazwiska i telefony oraz informacje o partnerstwie znajdują się na stronie głównej projektu [www.prrsportowcy.pl](http://www.prrsportowcy.pl).

Korzystając z przygotowanych programów i rozwiązań, sprawdzonych w projekcie „Sportowcy na rynku pracy”, widząc duże zainteresowanie w pozyskaniu nowych uprawnień zawodowych, w połączeniu z dużym zapotrzebowaniem rynku pracy na tego rodzaju specjalistów, Polski Związek Alpinizmu rozpoczął starania o wprowadzenie nowej specjalności instruktorów rekreacji – techniki linowe w rekreacji. Program szkolenia został złożony w Ministerstwie Sportu. Po uzyskaniu zgody Ministerstwa – biorąc pod uwagę obowiązujące procedury oceniamy, że nastąpi to pod koniec wakacji – zamierzamy zorganizować kurs instruktorów rekreacji dla wszystkich chętnych spełniających wymagane kryteria. Wstępny termin to październik 2007 roku.

*Magda Stupińska*



Kursanci podczas warsztatów.

## **Sylvain Jouty i Hubert Odier: „Leksykon alpinizmu”**

Wyd. MUZA S.A., Warszawa 2007. Stron 704, format 16x24 cm, oprawa twarda. Tytuł oryginału: „Dictionaire de la Montagne”. Tłumaczenie: zespół. Konsultacja merytoryczna: Janusz Kurczab.

Autorzy są doświadczonymi alpinistami, uczestnikami wielu wypraw wspinaczkowych w Alpy, Andy i Himalaje. Leksykon zawiera około 2000 haseł na temat gór i alpinizmu. Jest to prezentacja światowego alpinizmu z szeroką panoramą dorobku polskich alpinistów. Autorami haseł polskich są Małgorzata i Jan Kiełkowscy. Hasła poświęcone są szeroko rozumianej tematyce górskiej – od opisów najważniejszych szczytów i pasm górskich, biogramów słynnych alpinistów i badaczy gór, po terminy z żargonu wspinaczkowego. Książka jest bogato ilustrowana zdjęciami, mapkami i unikatowymi szkicami.



## **Konrad Burzawa i Artur Sobczyk: „Rudawy Janowickie”**

Wyd. Sudetica Verticalia, Wrocław 2006. Stron 146, papier kredowy, zdjęcia czarnobiałe i kolorowe, liczne szkice skał, mapki i rysunki. Format 12,5x17,5 cm.

Przewodnik wydany jest niezwykle starannie – zarówno treściowo, jak i graficznie, ponadto zawiera dodatkowo streszczenia w języku angielskim, niemieckim i czeskim. Układ jest prosty i przejrzysty. Zawiera on omówienie 39 obiektów skalnych i 215 dróg o trudności od II do VI.5 z jedną drogą A2. Ponad połowa z opisanych dróg jest ospitowana. Każda skałka posiada rysunek z naniesionymi drogami i niewielkie poglądowe zdjęcie. Nie ma opisów słownych. Pomocne są znaki graficzne obrazujące wystawę ściany, jej wysokość i nachylenie oraz przedział trudności. Do tego załączono dokładne mapy rozmieszczenia skałek i dobrze opisane trasy dojścia.

## **Donigan Merritt: „We władaniu cieni”**

Wyd. STAPIS, Katowice 2007 w serii „Literatura góraska na świecie” Stron 232. format B5, oprawa miękka.

Książka jest hołdem złożonym miłości i przyjaźni, której więzy zadzierzgnęły się w skrajnych warunkach wypraw górskich. Autor stawia nas przed największym z wyzwań filozofii: skoro pewne jest, że umrzemy, jakie wybierzemy życie? To opowieść o parze amerykańskich wspinaczy, którzy z pustynnego Joshua Tree przyjeżdżają do Czechosłowacji. Wszystko to rozgrywa się na krótko przed czechosłowacką aksamitną rewolucją 1989 roku.

## **Martyna Wojciechowska: „Przesunąć horyzont”**

Wyd. Otwarte, Kraków 2006. Stron 264, format 15,5x21,5 cm., oprawa miękka.

Niezwykle starannie wydana książka, obfitująca w znakomite zdjęcia. Popularna dziennikarka telewizyjna wchodzi na najwyższą górę Ziemi. Czy poza medialnym szumem wynika z tego coś jeszcze?

„Media lubią Martynę, ale Góra jest nieczuła na wdzięki, stosuje równą miarę dla wszystkich i od każdego wymaga takiego samego respektu i hartu ducha. Mimo że Martyna to amator, do przygotowania i logistyki wyprawy podeszła bardzo profesjonalnie, co sprawiło, że odniosła wielki osobisty sukces (trzecia Polka na Ewreście!). W drodze nie była sama, ale liczyć musiała głównie na siebie. Bo takie właśnie są góry...”

Autorka inaczej niż zawodowi himalaściści opisuje wyprawę – chyba bardziej prawdziwie, z większą wrażliwością na szczegóły. To są spostrzeżenia i przemyślenia człowieka „z zewnątrz”, który widzi rzeczy, o jakich górcy weterani nie zawsze chętnie mówią. Niewątpliwie jest to książka interesująca, ale przede wszystkim poszerzająca wiedzę o górach, ale przede wszystkim – o człowieku w górach. Warto przeczytać”. (Z przedmowy Krzysztofa Wielickiego).



## Ziemowit Jan Wirski (1957–2006)

Trudno jest wspominać Ziomka inaczej niż na wesoło. Pełen energii, obdarzony niezwykłym, specyficznym poczuciem humoru, pozostanie w naszej pamięci zawsze skorym do żartów kpiarzem i prześmiewcą. Zabawnymi dykteryjkami potrafił umilić czas, nawet w najbardziej zaciekałej kolebie. Miał „serce do gór”. Tatry były jego światem. Zarówno w lecie, jak i zimą spędzał w nich mnóstwo czasu. Lubił włączyć się po ich odludnych zakątkach, wyszukiwać i eksplorować nieznane sobie miejsca, by



w końcu stać się ekspertem w topografii. Wspinał się na wszystkich znaczących szczytach tatrzańskich.

Zrobił ponad tysiąc dróg, również wytyczając nowe przejścia. Za najpiękniejsze uważał drogę Gierycha

na Małym Młynarzu, Eštoka i Janigi na Wołowej Turni, Hobrzańskiego i Sułowskiego na Czołówce MSW, Cagaśika na Żółtej Ścianie. Z zimowych osiągnięć najbardziej cieszyło go wejście na Wyżnią Lodową Przełęcz przez Dolinę Śnieżną. Bywał także w Alpach, Bergellu i Dachsteinie. Z dróg tam zrobionych bardzo ce-

nił sobie przejście Cassina na Piz Badile. Brał również udział w wyprawie na Satopanth w Himalajach Garhwalu. Przez wiele lat działał też Ziomek społecznie, na rzecz naszego środowiska. Redagował „Wspinka” — pisemko Akademickiego Klubu Alpinistycznego, z którym był związany od początku studiów na Wydziale Elektroniki Politechniki Warszawskiej. Później, już jako członek KW W-wa, współpracował z „Taternikiem” a także pracował w Zarządzie PZA. Był też współredaktorem świetnego przewodnika „Najciekawsze wspinaczki skalne Tatr Polskich”. Organizował „Spotkania Tatrzańskie” — obozy integracyjne dla młodych wspinaczy. Był członkiem Zarządu Fundacji Wspierania Alpinizmu Polskiego im. Jerzego Kukuczki. Praca społeczna nie odciągnęła go od gór. Zawsze miał mnóstwo pomysłów na bliższe i dalsze wyprawy zarażając nas nimi przez swój radosny entuzjazm. Zaczął też wprowadzać w góry obu synów mając dla nich również plany na przyszłość. Górską pasja odmieniła Ziomka. Początkowo interesowało go wyłącznie realizowanie zamierzonych celów, ale z biegiem lat zmienił się w serdecznego Przyjaciela, na którego wsparcie każdy z nas zawsze mógł liczyć. Zginął 16 września 2006 roku w potężnej lawinie kamiennej, pod drogą Grosza, na zachodniej ścianie Gierlachu.

*Przyjaciele*

## Józef Bryła (1924–2006)

Swoją przygodę ze sportem zaczynał od lekkoatletyki i narciarstwa. W górach pierwszy raz pojawił się w 1947 roku i w Dolinie Pięciu Stawów poznał Stanisława Grońskiego, co miało zaowocować w niedalekiej przyszłości. Był jednym z założycieli Szczecińskiego Klubu Wysokogórskiego. Działał w składzie Zarządu Sekcji Taternictwa (później Szczecińskiego Koła KW i SKW), w Komisji Rewizyjnej i Komisji Dyscyplinarnej. Od

początku działania w Komisji Taternictwa zajmował się przygotowaniem kondycyjnym czerpiąc z metod treningowych stosowanych w lekkoatletyce. W 1959 roku dokonał rekordowego przejścia grani Morskiego Oka w czasie dwudziestu godzin. Wejściem na kaukaski szczyt Kazbek (5047 m) w 1961 r. poprawił ówczesny rekord wysokości szczecińskiego Koła. Brał udział w pierwszej wyprawie Koła w góry egzotyczne (Atlas Wy-



soki). W tym samym roku dokonał w towarzystwie Wandy Rutkiewicz wejścia na Mont Blanc. W 1970 r. podczas wyjazdu w Alpy Julijskie dokonał pierwszego przejścia kuluaru północnej ściany Šite. Dwa lata później wytyczył trzy nowe

drogi i wziął udział w wejściu na dziewiczy szczyt w górach Zagros w Iranie. W 1973 r. brał udział w pierwszym przejściu północno-zachodniego trawersu Spitsbergenu. W następnym roku uczestniczył w jedenastu pierwszych wejściach w górach wschodniej Grenlandii. Przez kolejne lata sukcesywnie wyjeżdżał w różne góry świata: Hindukusz Afgański (1977), Tatos (1978), Himalaje (1979, trzy pierwsze wejścia na szczyty pięciotysięczne), Andy Peruwiańskie (1980, samotne wejście na sześciotysięcznik Huascarán Sur), Himalaje (1984, rejon Nun-Kun, 1986 osiągnięcie wy-

sokości ok. 7100 m na Annapurnie Południowej, 1989 Diama w rejonie Nanga Parbat i dolina Gangotri, 1996 Pradesz i Ladakh), Spitsbergen (1987, dwa pierwsze wejścia), Kaukaz (1991) i Altaj Mongolski (2000). Systematycznie wyjeżdżał w Tatry Polskie i Słowackie. Jego najczęstszym partnerem w górskich wyprawach był Andrzej Woźnicki. Zawsze życzliwy wobec wszystkich, cieszący się ogólnym szacunkiem i sympatią, przez ponad 50 lat czynnie uczestniczył i służył radą w działaniach Klubu. Swoje bogate życie sportowe opisał w książce „Moje życie psie i rajskie” (Wyd. Verbum, Szczecin 1994). Do końca imponował młodzieńczą sprawnością. Zmarł 3 września 2006 r. w drodze powrotnej z ostatniej wyprawy do ukochanych Tatr. Był doceniany nie tylko w Klubie, w którym wyróżniony został pierwszym „Złotym Hakiem” za wieloletnią działalność alpinistyczną w Tatrach i Górach Świata oraz nadaniem tytułu Członka Honorowego SKW. Odznaczony został Krzyżem Armii Krajowej, Złotą Odznaką „Zasłużony Pracownik Morza”, Złotą Odznaką „Zasłużony Działacz Kultury Fizycznej”, Złotą Odznaką PTTK i Srebrną Odznaką Polskiego Związku Lekkiej Atletyki. Posiadał tytuł Honorowego Przewodnika Turystyki Górskiej i Członka Honorowego Klubu Tatrzańskiego PTTK.

*Sławomir Jabłoński*

## Stefan Cieślak (1970–2006)

W końcu października 2006 r. w okolicy szczytu Paldor (5928 m) w Ganesh Himal zginął wraz z 3-ma francuskimi kolegami mieszkający we Francji Polak z pochodzenia, Stefan Cieślak (36). Urodził się 17 kwietnia 1970 r. w Warszawie, górami zachwyił się – co stale podkreślał – już jako dziecko w Tatrach. Po wyjeździe do Francji w 1978 r. zamieszkał najpierw w Paryżu będąc stałym gościem w Fontainebleau. Później poznał szczyty i lodowce Pirenejów, Alpy Południowe i wreszcie od ukończenia 14 roku życia masyw Mont

Blanc. W Epinay sur Seine, gdzie mieszkał z rodziną, wraz ze starszym bratem Pawłem działał aktywnie w Club Alpin Français. Odbił studia audiowizualne

i podjął pracę, ale zew gór był silniejszy – zajął się alpinizmem zawodowo. Prowadził wycieczki, organizował życie sportowe i kulturalne, jeździł na nartach,





Stefan na wspinaczkę w Gorge du Nant

spląwał dzikimi wodami, latał na lotniach i spadolotach. Stale podnosił kwalifikacje górskie, odbył wymagane szkolenia i staże. W 2003 r. ukończył staż w ENSA i uzyskał patent przewodnika wysokogórskiego. Był członkiem Club Alpin Français (CAF) i Groupe de Haute Montagne (GHM). Brat Stefana Paweł jest również przewodnikiem wysokogórskim UIAGM, wyspecjalizowanym w Pirenejach.

Stefan pracował dla biur przewodników w Grenoble i Autrans, na wiosnę 2007 planował wycieczkę z klientami na Mount McKinley na Alasce. W Oisans pozostawił nowe skalne drogi, jak np.

na l'Aiguille de Praz Torrent, czy na Tour Rouge Ouest w Écrins, powtarzał słynne ściany, m.in. północne l'Olan, Pic Sans Nom, des Courtes, la Meije, Grandes Jorasses (przez Całun). Kilka dróg przeszedł na Grand Capucin. W Oisans robił pionierskie drogi lodowe, np. w maju 2003 lodospadami wschodniej ściany Tête de l'Étert (TD 400 m 90 st. max, mikst 4+).

W styczniu 2001 (od 28 grudnia) odbył ciekawą wyprawę na południe Chile na granitowe ściany Doliny Cochamo w Araukanii. Wraz z Jeanem-Baptiste Moreau wytyczył nowe piękne drogi na Cerro Trinidad i Pietra de Gorila (po 500–600 m), przeszedł również z dwoma biwakami 800-metrową ścianę dziewiczego szczytu (6b A2+). Nie odnotowane u nas, te jego wejścia wzbogacają też – sportowo i geograficznie – polski dorobek w górach egzotycznych. Jesienią 2003 wspinał się na skałach Wadi Rum w Jordanii, w lutym 2004 zrealizował miło wspomniany wypad narciarski w Riłę i Piryń w Bułgarii. W 2005 r. były emocje wielkich ścian wawozów Taghia w Wysokim Atlasie, zaś w styczniu 2006 – skalnych pionów w równie gorącym masywie Hombori w republice Mali. W Wysokim Atlasie poznał wspinających się tam równolegle alpinistów z kraju – Elżę Kubarską i jej zespół. Sam nie zapominał też o Polsce i Tatrach, które odwiedził z przyjacielem w styczniu 2003 – wspinali się m.in. „w mikście Niżnich Rysów”, w schronisku nad Morskim Okiem, korzystając z opieki i rad Andrzeja Skłodowskiego. „Pamiętam ich dobrze – mówi Andrzej – wyjątkowo mili chłopcy”.

*Józef Nyka*

## TATERNIK

Magazyn informacyjny Polskiego Związku Alpinizmu

Ukazuje się od 1907 roku

Nr 1 (313) Rok 81 ISSN 0137-3155

Redakcja, opracowanie graficzne i skład: Janusz Kurczab

Ul. Krakusa 1 m. 13 03-390 Warszawa

Tel. 022/409-32-40 E-mail: [taternik@pza.org.pl](mailto:taternik@pza.org.pl)

Wydawca:

Antykwariat Górski „Filar” Henryk Rączka

Ul. Alabastrowa 98, 25-753 Kielce, Tel. 041/345-62-19

<http://www.antykwariat-filar.pl/>

POLSKI ZWIĄZEK ALPINIZMU  
Centralny Ośrodek Szkolenia  
„BETLEJEMKA”  
ul. 500 Zakopane, Hala Gąsienicowa  
poczta: ..... dnia .....

Od kogo  
Kol. Piotr Komar

za co

opłata za udział  
w kursie instruktorskim  
Polskiego Zw. Alpinistycznego

Centralny Ośrodek Szkolenia  
Polskiego Związku Alpinizmu

*Betlejemka*

- kursy taternicze
- kursy ski-tour
- kursy lawinowe
- kursy wspinaczkowe w lodzie
- baza noclegowa

Hala Gąsienicowa,  
34-500 Zakopane, box 399  
tel: 0-18 20 19 124  
gsm: 603 424 101  
betlejemka@poczta.onet.pl  
www.pza.org.pl/tatry/betlejemka

135

Kwota powyższa  
W. Wyp...  
podpis kasjera

Nawet najlepsi uczyli się u nas...



